

PISMO DLA RODZIN.

№ 39. Warszawa, dnia 18 (30) Września 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

CZYTELNICTWO LUDOWE.

Wiem że sam już tytuł tego artykułu odstręczy wielu od pobieżnego choćby tylko przerzucenia go. Był czas kiedy modną rzeczą było pisywać dla ludu, kiedy forsownie produkowały się ludowe książki. Czas ten trwał krótko, moda minęła oddawna, a sztuczne wytwory chwilowego zapału, przepadły gdzieś nietknięte prawie przez tych, dla których miały być przeznaczone.

Dziś *ex oficio* tylko, odzywają się niekiedy głosy przypominające ogółowi, jak rażącą szczerbę w literaturze naszej stanowi zupełny prawie brak utworów myśli, przystępnych dla mas czytających; głosy takie milkną bez echa—jako dotyczące *niemiłej* sprawy, jakby w społeczeństwie naszem brak było strun jednobrzmiących z niemi. Sprawa niemodna bywa u nas zwykle nieżywotną sprawą, więc porzucona oddawna zabawka opinii publicznej—drzemie zapomniana. Opinija bawi się od niechcenia różnemi rzeczami, od kwestyi ludowej odwraca się jednak obojętnie i—czyni lepiej może, iż do rzędu zabawek nie liczy rzeczy tak ważnej; może po mimo woli pojmując jej znaczenie, zajmie się nią wreszcie trzeźwo i dojrzale.

Niezależnie od ludzi nielubiących słuchać o braku ludowych książek, istnieje u nas przeważna większość między czytającymi, której brak umysłowej strawy pożywnej. Między wiejską i miejską ludnością masy całe pozbawione są książki i pozostają zewnątrz jakiegokolwiek ruchu umysłowego.

Dla ludzi ze średnią oświatą mamy stosunkowo obfitą literaturę bieżącą — mówiąc otwarcie, mającą za cel przeważnie zabawę wykształceńszej publiczności, tymczasem ogół daleko liczniejszy, obdarzony tylko pierwiastkami oświaty, potrzebujący jej jak chleba powszedniego—nie ma nic prawie. Gdy na wyścigi biegniemy zadowolnić bogatszych wiedzą, maluczkim okruchów się nawet niedostaje!

Pominąwszy już wzgląd na doniosłość społeczną na potrzebę szerzenia czystego światła wśród podstawowych warstw narodu, samo poczucie sprawiedliwości powinno zwrócić ludzi dobrej woli na zapomniane pole pracy w dziedzinie naszego piśmiennictwa. Wszędzie na tej niwie panuje ruch zbawienny, choć także i bujny chwast zakwita; u nas cisza, brak siewców zdrowego ziarna, zaledwie odosobniona praca od czasu do czasu pojawi się, a chwastów!...tych nigdzie nie brak. Odpadki, fusy naszego piśmiennictwa dostają się zawsze w ręce mas żądnych jaskrawej barwy; one znajdą je zawsze, bo są to jedyne dla nich płody i zrozumiałe i powabne. Czy pożyteczne, o to się nie będzie pytał moralistów, człowiek szukający na oślep umysłowego pokarmu. Mamyż prawo oskarżać go o zły wybór? W czemże będzie wybierał?

Ze wstydem wyznać nam trzeba że wśród oświeconych narodów nie znajdzie się chyba porównania z naszem ubóstwem ludowej literatury. W ciągu lat ostatnich zastój ten zaledwie przerywany jest ukazaniem się pojedyńczych utworów rzeczywistej wartości, utworów, dodajmy, które żywszego interesu wzbudzić nie mogą. Zupełnie nieznanym jest u nas rodzaj książek pisanych dla wszystkich, a nikt z piszących nie chce się zniżyć do przemówienia tak, aby go zrozumiał i odczuł człek prosty. Wiemy dobrze, iż to nie jest rzeczą łatwą, przecież nie trudność pisania dla ludu, ani brak odpowiednich ku temu talentów jest przyczyną ubóstwa ludowej literatury naszej.

Dotykalną przyczyną tego zaniedbania jest pojęcie, iż pisanie i drukowanie dla ludu, naraża pracujących na materyjalną stratę. Gdyby tak było w istocie, nie pozostałoby nam jak tylko odwoływać się do filantropijnych towarzystw, do obywatelskich uczuć ludzi rozporządzających środkami stosownemi, a niepotrzebujących widzieć w wydawaniu dziełek popularnych mniej lub więcej szczęśliwej finansowej operacyi. Byłoby to sztuczne zaradzanie potrzebie i dodajmy zaraz, bezskuteczne zapewne nawoływanie w imię społecznego dobra. Szczęściem trudno nam uwierzyć, iżby na straty narażonym był wydawca rozpowszechniający gorliwie i przedsiębierczo wśród szerokiego ogółu rzeczy mogące istotnie go obejść, trafiające w potrzebę ludu, zgodne z duchem jego—przynoszące prawdziwy pożytek, a podane w formie właściwej.

Dwa ważne względy warunkują powodzenie wydań podobnych na początek choćby broszur tylko:

Wyrazem „lud“ objąć tu należy bez żadnych ograniczeń cały nasz ogół umiejący czytać, a co do dróg rozpowszechniania przeznaczonego dlań płodu myśli, nie zamykać się w nieprzystępnym dlań handlu księgarskim.

Znamy powszechnie dziełka rozpowszechnione aż do najniższych warstw społeczeństwa, nie zawsze zresztą budujące treścią, które dotąd jeszcze sowicie zapewne opłacają się wydawcom, a które popularność swą zawdzięczają *tylko* trafnie znalezionym sposobom rozprzedaży. Któż nie spotyka się wszędzie z historyją St. Genowefy, z „Sowizdrzałem,“ „Sądem Lucypera“ lub „Mageloną?“ Kto nie oburza się na rozchodzenie się senników, kabał i t. p?. Dziwnym zbiegiem okoliczności „Maryja“ Malczewskiego, utwór mimo swej piękności nieprzystępny dla prostaczków, znalazł się w liczbie druków przenikających wszędzie, wraz z książeczką nabożną medalikiem i rożańcem.

Nowych tedy dróg nie potrzebowałyby czekać wydawnictwa roznoszące zdrowe ziarno oświaty pomiędzy lud. Nie potrzebujemy uciekać się tu do filantropijnego rozdawania broszur i pism sposobem jałmużny. Lud to tylko szanuje co nabył dobrowolnie za swój grosz własny. Dajmy mu tylko rzeczy prawdziwej wartości. Niechaj spotyka się z niemi na odpuście i na jarmarku, w kramie, u wrót kościoła i przed progiem karczmy, niech ma coraz nowy pokarm dla myśli, coraz rozmaitszy i coraz obfitszy.

Przemilczeliśmy dotąd o jedynem u nas piśmie ludowem o „Zorzy“ zamykającej w sobie całą naszę ludową literaturę. Nie roztrząsając bliżej wartości tego pisemka, które o ile możności stara się odpowiedzieć swemu zadaniu, chcemy zwrócić uwagę, że żadne pismo peryjodyczne tego rodzaju nie może u nas lic yć na szerokie rozpowszechnienie.

Prenumerowanie pisma jest zbyt obcą rzeczą dla ludu. Ono miewa miejsce tam dopiero gdzie czytanie stało się potrzebą ciągłą. Nasz lud nie dorósł jeszcze do prenumerowania pism.

Nikt nie zaprzeczy, że Zorza może i powinna ważne usługi oddawać ludowemu czytelnictwu, lecz aby mogła być rzeczywiście ludowym organem, poprzedzona być musi mnóstwem pojedyńczych broszur, tanich książek podawanych masom w jak najprzystępniejszy sposób. Potrzeba aby lud zasmakował w czytaniu, aby dowiedział się, że książka do nabożeństwa nie jest jedynym celem nauki czytania.

Mylnie sądzą ci, którym się zdaje, że nauki moralne są jedyną treścią utworów przeznaczonych dla ludu, że dziełka podobne mają koniecznie jakiś związek z dobroczynnemi instytucyjami. Wydawnictwa ludowe potrzeba uczynić żywotnym wyrazem potrzeb ogółu, samorodnemi odroślami literatury. Modernizowane wymuszone płody rodzą się z zarodami rychłej śmierci i życia rozlewać nie mogą. Utwór ludowy powinien być produkcyją talentu, głębszej znajomości sposobu myślenia i pojmowania mas czytających. Utwory takie nie rodzą się tłumnie i na poczekaniu, wzgląd taki jednak nie usuwa możności jak najrychlejszego zwrócenia działalności w tym kierunku. Literatura nasza dawniejsza i obecna liczy dość utworów, które z pożytkiem mogłyby być popularyzowane; przy obudzonym, choćby nieznacznym ruchu na tem polu niewątpimy że znajdą się zdolni ludowi pisarze. Idzie więc tylko o uczynienie początku — co więcej znaczy niż setki najżarliwszych odezw, do miłujących ogólne dobro członków społeczeństwa.

Antoni Mirski.

WIĘC WOLNO?

Więc wolno śpiewać, szczebiotać ci?
Wolno mi kochać ciebie?
Upojeń chwilo! — to duch mój śni....
To pieśń, co była w niebie.

O! precz z niewiarą; czemuż się dręczę?
Uśmiech jej lica, boski ten,
Roztoczył, wdmuchnął brylantów tęczę....
Tchnieniem rozsrebrzył sen.
I syn rozczaru,
Jak rosa burz,
Pił woń nektaru
Lilii, róż;
Dziwnej harmonii tęskny tren
Rozkoszą go cudną napawał,—
I płakać, i śmiać się zdawał....
Ach! to był tylko sen.

* * *

Słuchaj: wszak niebo duchów siostrzanych
Tak się nad nami świętością wzniosło,
Że miłość moja, lic twych świetlanych
Nie śmiała dotknąć, o! siostro.
Dla mnie twe usta, dla mnie tyś cała
Świętości słowo — pamalija.
Pomnę, raz dziko pierś moja wrzała,
Nieboski objął mię szał;
Spojrzałem w oczy: blada konwalija....
I moje'm zakrył przed boską skrą;
Ze wstydu'm, jak liść, drżał;
I winę zmywałem łzą.
Tak, gdy w przelocie, treścią zwodnicza
Myśl rozigrana w duchu się zjawia,
Przed gwiazdą duszy drży tajemnicza —
I serce żalem rozłzawia.
I ciemń bezdenna
Tej myśli złej
Niknie, by senna,
Od gwiazdy tej;
Dziwów sumienia tęskny tren
Czemś miłem ducha napawa,—
I płakać, i śmiać się zdawa....
Ach! to był tylko sen.
Precz! precz z swawolną.....
Mnie śpiewać wolno!
Snem zachwytu pierś rozżarzyć,
Tylko śpiewać! tylko marzyć!

* * *

By kryształowy gór śnieżnych strumień,
Pieśń błyskawiczna gwiazd ideału,
Nie zna zarumień ziemskiego szału,
Płomienna niebem zarumień!
Taką pieśń kocham, jak drżącą rosę
Skierki srebrnemi we łzach i złocie;
Taką pieśń, luba, dziś tobie niosę:

ŚLADY ŻYCIA.

XXXIX.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

W dniu 19 b. m. odbyło się w sali Resursy Obywatelskiej 12-te półroczne posiedzenie Stowarzyszenia Spożywczego „Merkury.“

Po odczytaniu sprawozdania, zarząd zawiadomił zebranych, że oddawna i wielokrotnie poruszana kwestyja otworzenia kredytu w sklepach stowarzyszenia dla klas niezamożnych, w praktyce przeprowadzić się nie dała, ustawa bowiem nie dozwala na operacyje podobne.

Chcąc jednakże przyjść w pomoc uboższym mieszkańcom miasta a głównie ludności fabrycznej i rzemieślniczej—zarząd odwoływał się był do właścicieli i administratorów większych zakładów przemysłowych z propozycyją, aby wyjednały one od siebie kredyt takowy dla swych pracowników, z obowiązkiem strącania pod solidarną odpowiedzialnością na pokrycie długu pewnej części z pieniędzy zarobionych i wnoszenie takowej wprost do sklepów stowarzyszenia—nie otrzymała na to jednak żadnej zgoła odpowiedzi. Dziwna zaprawdę rzecz, że panowie pracodawcy tak obojętnie znaleźli się w obec sprawy nadzwyczaj ważnej dla swych biednych pracowników.

Szczęśliwym nad wyraz trafem, kwestyja atoli kredytu o jakim mowa na lepszą skierowała się drogę. Jeden oto z członków zarządu wziął rzecz tę goręcej do serca i zaprojektował zebranie odpowiedniej kwoty, któraby oddana do dyspozycyi Zarządu w rodzaju kaucyi dała możność otworzenia potrzebującej ludności rachunku do jej wysokości. Projektodawca pierwszy ofiarował na ten cel rs. 30, za jego przykładem poszło kilku innych członków i zaraz na posiedzeniu zebrała się już na ten cel sumka rs. 155, jest więc nadzieja, że w krótkim czasie powiększy się znacznie liczba członków Stowarzyszenia, co koniecznie wyjść mu musi na dobre.

Drugim również ważnym projektem podnoszonym na ostatniem zebraniu, był projekt oddania Bazaru Stowarzyszenia w administracyją. Bazar ów, jak to powszechnie wiadomó, nie tylko nie przynosił dotąd żadnej zgoła korzyści, ale przeciwnie narażał Stowarzyszenie na dotkliwe straty, propozycyja więc p. Julijusza Bednarskiego, który oświadczył gotowość prowadzenia zakładu na swoje własne ryzyko a pod dotychczasową firmą, odstępując Stowarzyszeniu na początek 5% od czystego zysku, a następnie przy rozwoju interesu 8% i 12% przedstawiała się nader korzystnie. Pomimo jednak to wszystko odłożono rzecz całą na później, z powodu że projektodawca nie przedstawiał podobno należytej gwarancyi, kiedy bowiem w Bazarze znajduje się zwykle towarów za 8 do 9 tysięcy rubli, p. B. chciał złożyć tylko rs. 400 kaucyi.

Bądź co bądź widocznem jest, iż po długiej

Z nią lekko, lekko — w tęsknocie....
Różanolica! — nie ustek dźwięk,
Nie ogień twojego wzroku;
W nich jam ukochał duchowy wdzięk,
Ukochał ducha uroku!

Więc wolno śpiewać, szczebiotać ci?
Wolno mi kochać ciebie?
Upojeń chwilo! — to duch mój śni....
To pieśń, co była w niebie!

F. M. Eysymont.

Wczoraj i Dziś

(z notatek uniwersyteckich swojego kuzyna)

przepisał

Stanisław Wolski.

„Cudne to było to nasze grono
Z tą myślą wiecznie w niebo wzniesioną
I z tem ramieniem młodzieńczem hardem
Co krawędź nieba, z krawędzią świata
Sili się spoić—wierząc że zbrata."

„Farys."

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ IV.

Czemuż wesoły wieczór zaczynający nasze akademickie życie nie powtórzył się już więcej? czemuż rozbiły się tak prędko nasze młodzieńcze marzenia? czemuż niejednemu na samym progu życia, robak goryczy zaląg̨ł się w sercu? czemu, czemu? Dziś gdy na zimno przebiegam minione chwile żałuję bardzo że człowiek raz tylko na świat przychodzi, że przez smutne doświadczenia każdemu osobiście przejść trzeba. Aby zbadać życie—aby je zrozumieć, należy samemu zła i dobra zakosztować.

Niepodobna raf ominąć— niepodobna łodzi życia po gładkiej tylko posuwać fali, a podczas tej kampanii jakże wielu traci wszystko z czem do walki przychodzi? Więc nie jeden niszczy zdrowie, traci ochotę do pracy i idzie na bezdroża, więc nie jeden ze spaczonemi wyobrażeniami, z nienawiścią dla świata, ludzi i wszystkiego co nas otacza, opuszcza mury szkolne, aby siać złe między uboższą duchem bracią, aby ziarno zepsucia szczepić na dalekich krańcach kraju. Od takich apostołów strzeżże nas dobry Boże! Wielkie miasto ogniskuje w sobie wszystko: najochydniejsza zbrodnia ociera się tu o idealną cnotę, nędza w łachmanach o kapiące złotem powozy. Wszystko tu znajdziesz, więc nie dziw że wielkie miasto szkołą jest dla człowieka chcącego widzieć i uczyć się. Wiele rozprawiano o tem gdzie się winny mieścić uniwersytety i dowodzono, że małe zapadłe mieściny najlepiej odpowiadałyby celowi—bo nie nastręczając okazyi do przerozmaitych rozrywek, zmuszałyby młodzież więcej się i pilniej studyjom uniwersyteckim poświęcać. Ależ uniwersytet to nie zebranie i zestawienie tych lub owych wiadomości dla udzielenia ich słuchaczom. Młody człowiek przebywszy lat parę w gronie kolegów, książek i otaczającego go wielkiego miasta winien tyle zgromadzić materyjału iżby mu rozwinięty i zmodyfikowany później, na dalsze wystarczył boje. W uniwersytecie prowadzimy życie na małą skalę, jak na model, gdy tu dobrze—gdy tu jasno i trzeźwo pojmują się rzeczy to i potem gładko wszystko pójdzie na świecie. Cóż było z nami? jakąż drogą iść zaczęła młodzież która na pierwszem koleżeńskiem zebraniu śpiewała tak wesoło i tak dużo piła herbaty? Poczciwe chłopcy jęli się z ochotą i z zapałem pracy, to też pierwsze miesiące pobytu w szkole były istotnie bez zarzutu.

Cóż bo zresztą było robić podczas długich jesiennych wieczorów? Pracowaliśmy gorliwie przyzwyczajeni w gimnazyjum do uczenia się z dnia na dzień; nie mogliśmy z początku przywyknąć do myśli że to dopiero za dwa lata spotkamy się z egzaminem. Z samego więc nałogu każdy coś robił. Przytem po długim wypoczynku na wsi, siły były i była ochota. A nadto, nowość toć przecie była a nowość bawi. Co do mnie w początku roku szkolnego zrywałem się codzień bardzo rano, chodziłem na przedmioty które do egzaminu nie potrzebne nawet były, rad byłbym być na wszystkich wydziałach, wszystkie chłonąć prelekcyje. Niestety było to fizyczne niepodobieństwo, więc go się zastępowało sztucznie. Pożyczało się kursów od kolegów z innych wydziałów!... Ja sam pamiętam jakiś czas bardzo starannie czytałem kurs fizyki profesora P. i gdy tylko mogłem, byłem obecny na wykładach.

Józio N. 2, oprócz prawnych przedmiotów chodził prawie na wszystkie przedmioty filologicznego wydziału. Zamieniło się to u nas w rodzaj manii. Było wielu którzy notatki niewyraźnie w audytoryjum spisane przepisywali potem—opracowywali—słowem był czas że po studenckich stancyjach pióra bezustannie skrzypiały, a stosy książek zalegały szafki i półki. Pierwszo-kursiści pracowali zawzięcie starsi śmieli się z nas, nie wiedzieliśmy co to znaczy. Na ostatni kurs, na mężczyzn z dużemi brodami i wąsami, wychodzących z audytoryjum patrzyliśmy zawsze z uszanowaniem najgłębszem. Być na ostatnim kursie marzyliśmy wtedy, nie mieć już nad sobą nikogo, być tak blisko upragnionego portu i dobić doń nareszcie, jakże marzyliśmy o tem rozkosznie.

Ale wracam jeszcze do choroby uczęszczania na wszystkie przedmioty, do tego dążenia aby wszystko ogarnąć i być na wszystkiem. Celowali w tem prawnicy. Sama nauka prawa tak ogólna i dotykająca wszystkich warunków bytu społecznego, dalej encyklopedyja tegoż prawa, wykładana na pierwszym zaraz kursie, nie zrozumiana przez połowę słuchaczy, wtłaczała tylko do głowy jakieś systematy, podziały, bez których Bóg świadkiem obeszłoby się jak najlepiej. Przeglądałem kiedyś notatki z tego czasu. Było tam dużo wyrazów, ale sensu ani za grosz, powtarzały się ułożone w pewne kombinacyje: byt, świat, przyroda, podmiotowy, przedmiotowy, jednostka społeczeństwa i wiele innych. Na pierwszym kursie każdy jeszcze mając wiele czasu wybierał

---

bardzo niemocy, Merkury daje znaki pozwalające mieć nadzieję, że pożyteczna ta instytucyja energiją, gorliwością i rozumnemi zabiegami swych członków, wejdzie na dobrą drogę i zyska trwałe warunki bytu.

Tatuowany albańczyk, z powtórnemi zawitał do nas odwiedzinami, a widocznie za pierwszym razem pod bardzo dobrem opuścił nas wrażeniem, skoro uznał za właściwe potroić cenę za oględziny namaszczonego swojego ciała. Nie wiemy jak się uda ta sztuka, ale wiemy to, że rubel to bardzo duży pieniądz w kraju na który klęska spada za klęską i w którym w tym tylko np. roku— pożar tysiące rodzin pozbawił dachu i mienia...

O usunięciu żebractwa ulicznego mówi się i pisze bardzo dużo, ale za to nie robi się nic a nic takiego coby tej istotnej pladze, jaką taką a skuteczną położyło tamę. Faktem najbardziej oburzającym jest *żebranina dziecinna*, która się właśnie coraz bardziej rozpowszechnia w Warszawie. Pretekstem do niej są między innemi bukieciki, narzucane gwałtem i wyłącznie mężczyznom przechodzącym w towarzystwie dam. Idziesz sobie o to czytelniku rozprawiając o czemś najprzyjemniej, gdy w tem słyszysz obok siebie żałosne jakieś skomlenie, odwracasz się i spostrzegasz obdartą dziewczyninę, trzymającą w ręku bukiecik.

— Niech pan kupi kwiateczek dla pani!— odzywa się mała żebraczka i prowadzi cię kawał drogi ciągle tę samą powtarzając piosenkę. To natrętne domaganie się kupna „kwiateczka dla pani" obliczone na delikatne położenie mężczyzny, jest po prostu wyzyskiem a że publicznie i na wielką skalę praktykuje się wieczorem, zwłaszcza w Ogrodzie Saskim i alejach Ujazdowskich, potrzeba się dziwić policyi, tak czujnej w niektórych razach, że na podobne nadużycia patrzy sobie najobojętniej w świecie. Żebractwo małych dzieci bezwzględnie tolerowanem być nie powinno—bo przynosi krzywdę im samym i społeczeństwu tak widoczną, że się rozpisywać o tem żadnej nie ma potrzeby.

Coraz większe garnięcie się ukształconej młodzi naszej do pracy fabrycznej i rzemieślniczej jest bardzo pocieszającym objawem. Do większych warsztatów zgłasza się obecnie spora bardzo liczba tak zwanych *praktykantów*, chętnie nawet płacących panom majstrom za swą naukę, żądając tylko aby z nimi jako wykształconymi i dobrze wychowanymi, w odpowiedni postępowano sposób. Słuszność zanotować nakazuje, iż panowie przełożeni warsztatów, nie pozwalają uskarżać się na siebie. Ale rzecz dziwna, inne postronne osoby, z którymi często młodzieży owej stykać się „z urzędu" przychodzi postępowaniem swojem dowodzą strasznie chińskich jeszcze pojęć, o stanowisku rzemieślnika. Młodzież o jakiej tu mowa, szczególniej też narzeka na arogancyją spanoszonych żydów, którzy przecież powstawszy po największej części z lichwy, skórek zajęczych lub zapałek, powinniby o tem pamiętać, jeżeli niechcą aby im przypominano te niedawne dzieje.

Od osoby zasługującej na bezwzględną wiarę słyszeliśmy np. fakt następujący:

sobie przedmiot, któremu się specyjalnie poświęcał.. Wtedy skupował książki do niego się odnoszące, robił wyciągi, studyjował. Starsi kiwali głowami mówiąc: przejdzie, zachorował na encyklopedyją prawa, finanse, na psychijatryję, przejdzie, przejdzie i przeszło rzeczywiście. Choć krótko było niezostało to bez korzyści, zaczęliśmy dużo czytać nie w swoich przedmiotach i w całem znaczeniu tego wyrazu, staliśmy się encyklopedystami. Nic zabawniejszego, jak nieraz gdyśmy zgromadzeni w liczniejsze kółko zaczęli gwarzyć o tem i o owem, jakie tam były zdania jakie poglądy.

Najzasłużeńsze, wiekami uświęcone powagi naukowe, obalano jednem słówkiem—pomnikowe dzieła szły w poniewierkę wszystko tak od jednego zamachu, od ręki. Śmielsi zaczęli już występować z liberalnemi przekonaniami, niedowiarstwo było prawie powszechne; ledwie parę tygodni bytności w uniwersytecie obaliliśmy wszystko stawiając w miejsce tego cudowne zamki—brylantowe pałace—utopije. Wieleż to w takich dysputach wyrzeczono marnych słów, dziwnych przekonań—absolutnych sądów!..

Wszystko z początku kołowało się w głowach naszych: religija, prawo, obyczaj, stosunki ludzkie świat przyrodzony; wszystkośmy przerzucili, przejrzeli, stwarzali systematy, obalali królestwa; młode głowy nie przypuszczały że pomimo głośnych naszych protestów, świat pójdzie swoją koleją. Byliśmy w miniaturze małą rewolucyją, niezadowolnioną z obecnego stanu rzeczy, pragnącą gorąco odmiany, reformy. A już to w kwestyjach tego rodzaju celował zawsze nasz Gucio. Z najmniejszych pogadanek, z rzeczy nie wychodzących poza zakres codziennego życia, poczciwy a ognisty chłopak przeskakiwał zaraz na kwestyje, podnosił je, rozbierał, kłócił się ze wszystkimi zapalał i w końcu przekonywał słuchających go w milczeniu. W tych dysputach zawsze on z Olesiem ciągnęli w jednę stronę. Julek na czele reszty był mniej zapalczywy, zimniejszy, więcej rozważał chciał się spieszyć powoli. Nie zawsze innym podobała się ta metoda.

— Ha i cóż—mówił nasz przyszły doktór źle jest dla czego? bo społeczeństwo całe schowane w głębokie formułki dawno utartego systemu, bo pacierz za panią matką szepce bezustanku. A to głupstwo wszystko dodawał. Zachowują tysiące form światowych nieprowadzących do niczego, dla czego—dla tego tylko że takie formy zachowywano przed wiekami. Precz z tradycyją, precz z zaślepionym fanatyzmem. Naprzód!...

— Precz z obłudą, ze sprzedawaniem bliźniego, jak niegdyś Judasz Chrystusa—dodawał Oleś—precz!...

— Hola panowie, dobrze bardzo dobrze, odzywał się Julek—i to być może, ale nie tak. Każda reforma aby dobry skutek odniosła nie obala od podstaw budynku, ale na swój czas robi tylko tyle aby być jedną cegiełką do nowego gmachu przyszłości.

I potrzeba wszystko opierać na ogólnej zasadzie prawnej, która kieruje losami ludów, dorzucali prawnicy.

I nie można zadawać zupełnego kłamu historyi która jest mistrzynią czasów dzisiejszych mówił filolog Józio N. 1.

— Nie macie racyi!—krzyczeli jedni—i wy także—krzyczeli drudzy. Głupi świat i ludzie na nim—wołał unosząc się Oleś—gdzie prawda? gdzie podstawy bytu naszego? Z całego systemu religii jedno prawdziwe zostało iż: „prochem jesteś i w proch się obrócisz". A dusza a serce a szlachetne popędy—wołał wtedy poważny i stoicki Alfons? czyż życie to żart, czy celu w nim nie dopatrzysz?—Owszem jeszcze jakiego, mówił radykalny Mieczysław, tylko ten cel haniebny i nie wart porządnego człowieka! Odrzyć jednych aby nam było dobrze, filozofija pożytku i używania świata—system protegowany przez głupich i bogatych, precz z bogatymi i ciemnymi—wołał krzykliwy Karol, my ani jedni ani drudzy i źle nam na świecie. Ja sam nie mam dziś grosza przy duszy a w Warszawie nic darmo nie dadzą. O bo też ty sławnie się urządzasz mówił Józio N. 2, więcej masz na miesiąc jak ja na cały kwartał a pomimo to pustki wieczne w kieszeni. A cóż czy o tem myśleć będę aby mi na całe cztery wystarczyło tygodnie, pierwszego tygodnia żyje się niezgorzej, dalsze na cienko trochę, ale naiwnych dosyć, pożyczą i tak się opędzę.

Takie to były nasze biedy, takie palenie głów i silne przekonania obok ubóstwa materyjalnego, obok zupełnego braku uwagi na warunki codziennego życia. Całe nasze dni były na wskroś poetyczne i niezwyczajne. Na każdym kroku spotykałeś nowość, bawiło cię to, zapatrzony zapominałeś wreszcie, badałeś i głowa wzbogacała się; spostrzeżeniem rosło doświadczenie nabyte na żywych okazach, schwycone życie na gorącym uczynku.

ROZDZIAŁ V.

Ale byliśmy ludźmi błądzącemi jak inni, ułomnemi jak reszta śmiertelników, na których z góry patrzyliśmy, więc i grzeszyć potrzeba było, grzeszyliśmy także.

Nikt tak dobrze jak kobieta nie potrafi podnieść i uzacnić mężczyzny, nikt jak ona nie potrafi wlać w nas uczucia, które przenosimy z sobą do grobu, wiem to wszystko, ale wiem także, że w wielkiem mieście kobieta pierwsza strąca z serc naszych pyłek niewinności i prostoty. Podawszy rękę pokazuje krainę do której dotąd wstęp był ci wzbroniony. Widziadziałem ja to, widziałem z bliska i smutno pomyśleć jak nie jednemu na szerokiej drodze stanęło takie widziadło, które starożytni nie darmo sfinxem przezwali, a które wiecznie powabne i pociągające mężczyznę—prowadzi go tak często na manowce.

Precz kobieto! precz gadzino!
Nie czepiaj się nóg,
Gniew twój przejdzie, łzy przeminą,
Moje czyny w wieczność płyną,
Na mnie patrzy Bóg!

Do jednej z większych fabryk ślusarskich przyszedł przed kilku dniami żyd-dorobkowicz, i zażądał aby mu przysłano „chłopca do naprawy zamku." Ponieważ nie było pod ręką żadnego „chłopca," właściciel zakładu zlecił jednemu ze starszych praktykantów, aby pracę tę uskutecznił.

I poszli tedy razem „wielki kupiec" i „mały rzemieślnik." Szli zwolna, nic do siebie nie mówiąc, gdy w tem pan „kupiec" zwraca się naraz do „rzemieślnika," i podniesionym głosem, by go wszyscy przechodzący słyszeli rzecze:

— Słuchajno ty chłopak, uważasz jak ty mnie prędko skończysz robotę, to dostaniesz dzesiątkę na piwo?... bo to zamek uważasz „od wielkiego salonu," a do nas zaraz goszcze zaczną przyjeżdżać—rozumiesz—hę?...

Zagadnięty w ten sposób młody człowiek, spojrzał z oburzeniem na aroganta i z najzimniejszą krwią odpowiedział:

— Ja ci dam uważasz dwie dziesiątki za to abyś się dowiedział iż gbur pozostanie zawsze gburem, choćby miał *„dwa razy większych jak ty salonów"*—co rzekłszy, zawrócił się napowrót do warsztatu, zostawiwszy żyda, osłupiałego z oburzenia na taką hardość ślusarskiego chłopaka.

Niechże ten wypadeczek będzie przestrogą dla tych, którym się zdaje, że pieniądz daje prawo do pomiatania wszystkiego i wszystkim.

Nasza muza dramatyczna, zbogaciwszy się w ostatnich czasach kilku udatnymi oryginalnymi płodami, zwróciła na siebie uwagę autorów obcych.

Znany zaszczytnie tłomacz p. Swieczyn przełożył niedawno dla sceny petersburskiej komedyją p. Jana Zacharyjasiewicza „Kupno i Sprzedaż" a komedyja Okońskiego „Niewinni," przekłada się już na język francuski i wkrótce ma być wystawioną w Paryżu. Obie sztuki o jakich tu mowa, mają też być bezwłocznie wystawione w Warszawie.

Pod względem starania się o polepszenie sanitarnych warunków, a nawet pod względem prac naukowych na tem polu, niektóre z miast prowincyjonalnych zawstydzają Warszawę. Ot i teraz kiedy u nas nikt o niczem podobnem ani myśli, w Kaliszu lekarz tameczny p. Czajczyński wspólnie z kolegą swoim doktorem Raczyńskim, pracują nad zebraniem materyjałów do dzieła p. t. *Kalisz pod względem sanitarno-lekarskim, rzecz historyczno-krytyczna.* Pożyteczna ta praca pomieszczoną zostanie w monografii miasta Kalisza, jaką p. n. „Calissiana" wydaje p. Adam Chodyński b. wydawca i współredaktor Kaliszanina.

Dla czego tu w ten sposób wyrażam się o kobietach? Bo kobiety których imiona wypisane są w księgach dni naszych, nie są warte, nie mogą zasługiwać na lepsze wspomnienie. Kogo spotyka biedny i młody student w swoich uczuciowych wędrówkach — biedną szwaczkę...

Tylko nas, tylko studentów, którzy przez kilka lat mieli po parę groszy w kieszeni i duży zasób życia, można popytać co to są za istoty te ubogie szwaczki, ten cały proletaryjat niewieści, tak licznie spotykany na ulicach Warszawy — biedny, nieszczęśliwy proletaryjat. Zapytamy najprzód kto to są te kobiety? a potem dla czego są takiemi? Jakie są nie każdy wie! Ubogi rzemieślnik, jaka biedna wdowa po niższym urzędniku ma jedyne dziecko, ma ukochaną córkę. Kocha ją, bo to całe jej lub jego szczęście. Ale po nad przywiązanie nic więcej dać jej nie może. Brak środków materyjalnych, brak wykształcenia w rodzicach sprawia, że te biedne istoty, również bez wykształcenia, bez znajomości ludzi i świata wychodzą na ulicę, gdzie w tej chwili pada na nich grad pocisków w kształcie komplimentów, wykrzykników, słowem wychodzą na ulicę po to aby wyszedłszy czyste, wrócić zbrudzonemi i skalanemi. Kto winien?...

Wejdźmy szczerze w siebie, zastanówmy się, porachujmy się z sumieniem i ze skruchą uderzmy się w piersi. Ale jedni grzeszą, drudzy pokutują za ich grzechy. „Ślusarz zawinił powieszono kowala“ stare przysłowie zawsze prawdziwe. Uwiedziona zwodzi w odwecie i do złego namawia całe szeregi nieświadomych, jak muchy na lep, idących do złego które zdaleka zawsze się ładnie uśmiecha. Mój Boże! wieluż to z naszego gronka, z moich kochanych przyjaciół, a zaraz w pierwszym roku naszych uniwersyteckich studyjów poczciwy radykalista Miecio, padł ofiarą, chwilowo wprawdzie, takiej dziwnej jakiejś niewytłomaczonej miłości.

Spotkali się kiedyś wieczorem i on pierwszy ma się rozumieć przemówił do niej, odpowiedziała mu półsłówkami, przy drugiem widzeniu było już cokolwiek lepiej, mówiła więcej, uśmiechała się nawet. Miecio coraz więcej się zapalał a miał wtedy nie całe lat 20. Z początku nie wiedzieliśmy nic o tem wszystkiem, spostrzegawczy tylko Karol zauważył, że Mieczysław jakiś smutny, mniej mówi i rzadziej powstaje przeciwko bogatym i nabożnym. Nie obchodziło nas to bardzo, aż jednego wieczoru kiedyśmy z Karolem przeglądali jakąś ciekawą książkę, wpada na poddasze zadyszany Miecio i pierwsze słowo które mógł po odetchnięciu wymówić było „widziałem ją.“ Kogo pytamy myśląc że był świadkiem jakiego nadprzyrodzonego zjawiska; pozwoliliśmy mu ochłonąć, sapał długo, nareszcie znów odezwał się jakby do siebie, jutro o 7-ej wieczór na pewno na p. dodał trzaskając palcem o palec. Co na p.—zawołałem—co się z tobą dzieje, przyjdźże do świadomości, czyś we śnie. Ale gdzie tam—odpowiedział — na zupełnej jawie, tylko widzisz ta Zosia co to za śliczna dziewczyna, zdaje mi się że jej się podobam. Cóż to u licha za Zosia, bo nic a nic całej tej historyi nie rozumiem.—No krótko ci opowiem: poznałem ją, podobamy się sobie i kwita.

Tu zaczął dopiero szeroko się unosić nad wyższością Zosi od tych wszystkich pań, które widuje co dnia rozparte na wygodnych poduszkach powozu. Ona nie taka jak tamte, szczera otwarta i poczciwa jak mało. Cóż było robić, radykalista był pierwszym, który rozpoczął z tej strony badać i studyjować życie—nie było rady na niego. Zresztą pół środków nie rozumiał. Na drugi dzień o całą godzinę wcześniej był na miejscu schadzki, za ostatnie dwa złote kupił pół funta karmelków, parę serdelków i kilka ciastek, aby uraczyć swoję boginię. Wszystko to później gdy złe minęło opowiadał chętnie, zwłaszcza gdy w dobrym był humorze. Zosia więc jadła a Miecio nie mógł się dość napatrzeć ładnym jej oczętom, kształtnej kibici i zgrabniuchnym rączkom—słowem upojony tem wszystkiem, tego wieczora zrobił postanowienie, iż innej kobiety znać niechce, bo ta jest tą której szukał, prosta zwyczajna z ludu (co mu się niesłychanie podobało). Festyny w rodzaju pierwszego powtórzyły się kilka razy, chłopak zapożyczył się już u wszystkich, był nawet w chęci sprzedania najpotrzebniejszej garderoby, gdy niespodziewany wypadek przerwał nić złotych marzeń. Poczciwa Zosia bardzo lubiła ciastka i karmelki, ale apetyt miała ogromny, gdy więc Miecio coraz mniej zaczął ją obdarzać, pewnego wieczoru bardzo przyjemnie rozmawiając szła w towarzystwie naszego wesołego Karola! Nie spodziewała się spotkać swego naiwnego wielbiciela. Gdy jednak spotkali się oko w oko nasz Miecio nie zapanował nad sobą i coś niegrzecznego powiedział. Skromna Zosia obrażona udała się o pomoc do swego towarzysza, ale Karol nie chciał stracić przyjaźni i szacunku kolegi, wziął go więc tylko za rękę i udali się w inną stronę. Całą drogę Mieczysław gadał jak w gorączce, Karol go reflektował, ale nic to nie pomagało, Mieczysław był wzburzony, zły—zniechęcony jakiś i markotny. Zakochał się szalenie i zdawało mu się, iż jest kochanym nad życie—fakta powiedziały przeciwnie. Biedny chłopak z irytacyi wzruszenia rozchorował się nazajutrz. Że potrzeba go było pielęgnować i doglądać, nikt nam o tem przypominać nie potrzebował. Przy jego łóżku brać nasza znów przypominała sobie różne dzieje, znów jak z rękawa sypały się nierozwiązane problematy, zagadki, wiecznemi zagadkami zostające.

Na kogóż teraz kolej, odezwał się poważny Julek, wiesz co Olesiu ty ze swoją spiczastą głową i cienkiemi nogami powinieneś szczęścia probować.—Dajże mi pokój, mówił ten ostatni, to nie dla mnie, jeżeli kiedyś, to inaczej, każdy ma swoję filozofiję, tu robił pocieszny gest rękoma. Gdybym ja był na miejscu Mieczysława, moje bóstwo nieby jeść nie dostało, bo kochać najlepiej o chłodzie i głodzie. To musisz już być na tej drodze wtrącił długi Adaś, bo nie palisz w piecu od tygodnia, a dziś na obiedzie tylko się nam przyglądałeś.—No to z innych wcale powodów, także filozofija, kto głodny najsilniej myśli, musieliście uważać, jakto zawsze po obiedzie głowa cięży a oczy się zamykają, to najgorsze dla duszy, jadać obiady. Poczciwy chłopiec, bywały takie dnie że rzeczywiście nic nie jadł. Wspieraliśmy się jak mogli, ale w naszem gronie nie było ani jednego, za którego plecami stałyby liczne włości lub murowane rzędem kamienice. Dla tego też zasiłek uboższemu był słaby, ale serdeczny, z pod duszy; toż przyjmowano go serdecznie, ze łzą w oku, ze ściśnieniem braterskiem ręki.

Ja bo dziękuję Bogu, mówił przeciągający się na swem łóżku Miecio, że mię bogatym nie stworzył, to największe nieszczęście, za tym prawie koniecznie idzie ogłupienie i idyjotyzm. Tylko Mieciu nie przesadzaj, zmiłuj się powoli, powoli, mówił Adaś.—Tak, tylko patrz, kto z bogatych się kształci, albo przynajmniej kto z bogatych do tyla przynajmniej rozumuje, aby wiedział, że ten majątek, który posiada niestanowi jego wartości, że on przez to nic a nic więcej nie wart; czy który z nich stawia się kiedy w tem położeniu gdyby go utracił. Co znaczy on bez powozu, liberyi i wysokich kołnierzyków?... Oh! przepraszam za wysokie kołnierzyki, dodał obracając się do Adasia. Nic nie szkodzi, wiem że to nie do mnie odrzekł tamten.

Bogactwo, bogactwo—mówił Adaś, gdybym ja je miał! To co innego—ty bo wiesz dobrze o tem, boś wychowywał się między nami, co bieda co nędza, ty wiesz co życie twarde nie zasłane różami, oceniłbyś co masz, gdyby jakie milijony znalazły się w twoich rękach. Ale ci inni. No dajmy temu pokój, panowie, mówił Józio N. 2 chodzi tu o ważniejszą rzecz jak o zdanie, chodzi mi abyśmy między sobą założyli rodzaj zebrań literackich, czy jak je zresztą chcecie nazywać, jednem słowem, abyśmy się zespolili celem kształcenia się naszego we wszystkich kierunkach.—Dobrze, dobrze, odezwano się, ale zastosowanie, projekt, ustawa? Powoli, mówił Staś, szeroko rozbieraliśmy ten przedmiot z Józiem N. 2 i zdaje mi się, że zgodzimy się wszyscy. Jaka była ustawa, jaki był projekt opisywać nie będę. To tylko pewna, że po małej katastrofie Mieczysława, znów zebraliśmy się, aby nie zmarnować tych lat młodości przepędzonych w uniwersytecie.

Gucio i Karol chodził na medycynę, Oleś na matematykę, Julek na nauki przyrodzone, Józio N. 1 na filologiją, Józio N. 2, Adaś, Alfons, Staś, Mieczysław i ja na prawo—praca więc rozdzieliła się i aniśmy się obejrzeli jak przyszło lato, wakacyje i na jakiś czas rozjechaliśmy się wszyscy do domów...

ROZDZIAŁ VI.

Kiedyśmy w parę miesięcy potem powitali stare mury naszej stolicy, byliśmy jak dawniej weseli, serdeczni, kochający. Oleś tylko pobladł dowiedzieliśmy się później, że stracił ojca, nigdy o tem nie mówił. Do jednego Julka przed którym żadnych nie miał tajemnic wspominał, że to była jedyna osoba w familii, z którą go coś wiązało, zacny szlachetny człowiek, reszta nic nie warta, machał ręką, torba sieczki, wyście lepsi. Mówiąc to miał na myśli przyjaciół i kolegów. Każdy z nas tylko, po tym skończonym roku czuł się starszym, więcej umiał, mniej już rezonował a poważniej brał rzeczy, słowem czuliśmy to wszyscy nie mówiąc jeden drugiemu, że wszystkim coś do głowy i serca

przybyło. Czy i do serca? różnie to ludzie rozumieją?!

Co do serca nie powiem żeby zupełnie. Serce i głowa chociaż je oddawna ludzie pragną połączyć, stoją zawsze na odmiennych stanowiskach. Wykształcenie, inteligencyja wyłącza tę serdeczność i wylanie spotkane tak często u słabszych głową, które lepsze Bóg to wie? Widziałem ludzi którzy nic nie umieli, co to jednak byli za ludzie! Jak tam jest, dość że tego zapału, tej świeżości uczuć, tego wylania się na niedolę drugich jużeśmy trochę stracili, szło nam na ludzi, na ludzi czynu, pracy, więc o poświęceniach i bezgranicznem uczuciu niemogliśmy marzyć. Nie bez tego—kochaliśmy, jeżeli już nikogo innego to nas samych, nasze kółko gotowe oddać wszystko dla pomyślności drugich. W szerszym może zakresie, wobec wszystkich może inaczej już trochę rozumowaliśmy, ale między nami? Pożycz mi pieniędzy, mówił jeden do drugiego. Nie mam, odpowiedział zapytany, ale zastawię zegarek i dam ci, bo wiem że potrzebujesz. I zastawszedłi pieniądze były. A dopiero gdy przybliżył się egzamin, gdy słabsi garnęli się pod opiekę zdolniejszych, wieleż to bezsennych nocy z zaparciem się siebie spędził niejeden, aby tylko mniej przygotowanego towarzysza postawić na nogi; podobnej solidarności trudno znaleść.

Mieliśmy i swe chwile szczęśliwe, pełne zapomnienia.

Jako młodzi kochaliśmy sztukę. Śpiew, muzyka na niewyschłych sercach silne robiły wrażenie, całą więc falangą chodziliśmy do teatru. Tak zwana jaskółka albo rajek trzeszczał i huczał wtenczas od niekłamanych okrzyków uwielbienia i hołdu, składanym ukochanym artystom.

Oj były to czasy. Prawie żaden z nas oprócz małej liczby domów familijnych niebywał nigdzie, brakło czasu, teatr więc był nielada rozrywką.

Pamiętam jedną taką wyprawę. Było to jakoś w listopadzie, kiedyśmy na 2-gi kurs chodzili.

d. c. n.

Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

(ciąg dalszy).

Istoty te, nader sprytne a ciekawe, pracują zwykle na obie strony z równą gorliwością.

Gdyż jeśli z jednej strony, stają się tajnemi guwernantek powiernicami, z drugiej Argusowemi oczami śledząc wszystko, pokątnej edukacyi pensyjonarek dopełniają. A gorliwie pracują nadto i na własną rękę.

Czegoż taka pokojówka nie przewącha lub nie wytropi gdy zechce. Możnaby tu bez przesady powiedzieć: Słyszą one jak trawa rośnie.

Wraz tedy, z osiedleniem się pensyi pani Maciejowskiej, na moment nawet nie wypuszczając z rąk wątku zwykłych intryg swoich pensyjonarskich, wyśledziły pokojówki owe, bogatego dziada, który w pałacu pod Blachą, mieszkał w ubożuchnej komóreczce pod schodami.

Dziad, ze starej zatłuszczonej książki nabożnej śpiewał dziś pieśni różne na podwórzach patrząc chciwie, mimo pokornie spuszczonych oczów, gdzie się lufcik otworzy. Ale dziad „Piotr“ nie taką przecież miał minę, za czasów rezydencyi pod Blachą, księcia Józefa Poniatowskiego.

Był on tam piwniczym pałacowym, a stąd łaski wielkie posiadał u kucharzy i piwniczych możnych domów.

— Co to panie, dzisiaj mawiał... to wszystko chudzizna! Dadzą biedakowi grosz jaki, to radziby, aby godzinę całą modlił się za nich jakby to dziad modlitwą swoją odjąć mógł aby łut jeden, z fury grzechów, co ją dźwigają na grzbiecie!

— Pamiętam ci ja, mówił dalej do kucharza lub piwniczego pałacowego, ową piękną niegdyś starościnę B. co to złoconą zajeżdżała karetą... O! był to kąsek nie lada! Powóz od Dangla, a wszystko czegoś się dotknął na niej prosto z Paryża. A jak nawinął się żebrak, to go nogą jednak kopnęła... I żyj że tu proszę!

— To nie tak, jak z wami panie Mateuszu,... co to o biedaku pamiętacie. A Bóg zapłać wam, dodawał dziad dostając od starego kolegi piwniczego, księcia R. buteleczkę węgrzyna, i chowając ją, do obszernej dziadowskiej kieszeni.

— Bóg zapłać!.. Ot powiem wam za to dykteryjkę jaką. I zaczynał opowiadanie zabawnej anegdotki z dawnych czasów, lub skandaliku interesującego. A humor swój nie lada podsycał alkoholem, i zadowoleni słuchacze, jedną jeszcze częstokroć obdarzali go buteleczką, która tonęła również w dziadowskiej kapocie.

Lubili go też bardzo dla tego kucharze wielkich domów, i gdy na starość podupadł, hojnie zasilali urzędową jego baryłkę wszelkiego rodzaju zapasami; a piwniczowie zażyli niegdyś koledzy, i o gardle jego nieco pamiętali, gdyż w komóreczce dziada Piotra, pełno było zawsze omszałych butelek, co świadczyło już nawet, o pewnej dystynkcyi podniebienia dziadowskiego tego arystokraty.

Ale wszystko szło w kąt, przy owej sławnej baryłce, w której znajdował się jeneralny skład trufli, pasztetów i dziczyzny. A tak przecież wyborowe te mięsiwa sztucznie tam były na kupę poskładane, że mimo nawet sosu w którym to wszystko pływało, przy odrobinie cierpliwości i dobrej woli, nie trudno było oddzielić, mięsiwa te od siebie. A skoro oddzieliło się już raz takowe, to nawet nie źle niemi posilić się tam można było.

I z dobrym też skutkiem probowały nie raz, sługi pani Maciejowskiej, zakradając się na ucztę do dziadowskiej komórki. A czyniły to poniekąd z pewnem bezpieczeństwem, bo dziad dzień cały trawił na mieście i bynajmniej nie mając ich w podejrzeniu, klucza nawet nie nosił ze sobą w kieszeni.

Zresztą czyż dziad mógł się domyślać braku tego, o czem zupełnie prawie nie wiedział w jakiej było ilości, zwalając bez pamięci wszystko razem do baryłki.

Nie podejrzywał aby ktoś powziąść mógł myśl chociaż okradzenia go kiedykolwiek, jego co zawsze tylko śpiewał przez nos pieśni pobożne, i całe życie był taki biedny!!

Dziad wstawał rano, późno w nocy wracał do domu i posiliwszy się a pociągnąwszy z jednej i drugiej butelki, gasił łojówkę i rzucał się na barłóg swój chrapiąc tęgo, gdy pies tymczasem kości po nim ogryzał.

I wszystko napewno na długo zostałoby tajemnicą, gdyby nie zbytnia ciekawość pokojówek.

Gdy tedy lokatorzy pałacowi ubolewali nad nieszczęściem Piotra, piwniczego, strąconego przez los zawistny, z wysokiej swej godności, one jedne tylko uśmiechały się złośliwie, słysząc z jednej strony niewczesne tej litości objawy, a z drugiej widząc, jak dziad po nocy wypróżniał butelki, sądząc że go nikt nie podpatruje.

I one jedne też na długo przed tem, mając dziada w podejrzeniu, wcale nie zdziwiły się dowiedziawszy, że pewnej nocy Piotr zmarł, a policyja prócz wyśmienitych win i likierów w owych butelkach zamkniętych, a pełnej smakołyków beczki, samem złotem i srebrem, bo dziad banknotom nie wierzył, trzydzieści tysięcy zebranych pod podłogą znalazła pieniędzy.

Taka to była niedola nędzarza, i dla tego też jak wspomniałem wyżej, trudno mi było odłączyć go w myśli mojej od owych dziadów brodatych, którzy siedząc pod murem dziadowskiego podwórka w Krasińskich pałacu, przerażali wyobraźnię moję w dzieciństwie, ponuremi twarzami swemi.

Dziad ów i panna Génie, francuska czy szwajcarka z kantonu Gryzonów, poprzednio guwernantka pani Maciejowskiej, a następnie matki mojej, stanowili dwie osobliwości Pałacu pod Blachą.

Ta panna Génie, jeśli wolno się tak wyrazić liczyła się już w rzęd...przekwitłych piękności a trzy zęby jej wstawione, peruka na głowie, i marszczki na skroni, maszynką pod sztucznemi włosami ściągnięte, zostawiały wiele do myślenia o naturalnych jej wdziękach.

W każdym jednak razie, jeśli krytyka pokazałaby się tu zbyt łaskawą, to sąd jej surowiej już wypaść chyba musiał, przy przeglądzie reszty toalety guwernantki, która zdradzała różne dodatki i podkładki, w niekoniecznej ze sobą harmonii będące. Prawdę też powiedziawszy i nie małej sztuki użyć tu trzeba było, aby złagodzić jakkolwiek niesforne i kanciaste wyskoki figury pannyi Génie.

Jadała ona bardzo mało, zaledwie więcej cokolwiek od Krahla.

Na śniadanie wystarczała jej szklanka mleka z bułką, a talerz rosołu przepełnionego włoszczyzną, lub soczewicy na obiad.

Przybywszy do kraju naszego, z dwoma tylko rzeczmi oswoić się nie mogła, to jest z klimatem i językiem.

Matka widząc że się jesień zbliża a guwernantka nasza, nie ma nic ciepłego, zrobiła jej parę uwag w tej mierze: ale panna Génie żartowała sobie z tych ostrzeżeń, wyobrażając, że kazimierkowa salopka z podszewką bez waty, aż nadto ją od zimna osłoni. Ale gdy nastała zima, a z nią przyszły mrozy dwudziesto sto-

pniowe ze skurczonej Génie pod piecem, ledwo duch nie uszedł.

Dziwna to była natura!.. Klęła nasz podbiegunowy klimat, a równo jednak do futra przyzwyczaić się nie mogła.

Ale najpocieszniejsze ze wszystkiego były, jej boje językowe.

Niemcy, przychodzą do kraju naszego ze znanym okrzykiem: „Drang nach Osten.“ i zabierając nam przemysłem zdobyty pieniądz wynoszą się do swej ojczyzny, drwiąc z nas i naszego języka, a chociażby siedzieli lat dwadzieścia w kraju, rzadko kiedy dobrze po polsku się nauczą.

Inna rzecz z francuzami, chociaż i francuz każdy nie lepiej włada naszym językiem, trudniejszym mu nawet do wyuczenia się jak niemcowi. Ale znać tu przynajmniej usilność jakąś, która go do tej nauki podbudza. Łamie on tedy i kaleczy każdy wyraz nielitościwie, ale mówi, jak umie.

Więc i panna Génie robiła tak samo.

Matka moja wyszła raz z domu za interesem i zostawiła ją na gospodarstwie; panna Génie wbiegłszy więc wieczorem do kuchni zapowiedziała kucharce, aby gotowała ścierki.

— Ścierki!.. a przecież wczoraj dopiero były wygotowane, ale co będzie proszę pani na podwieczorek dla panien?

— Ścierki!.. klupia dziewczyna!.. Ja mówić tobie, coby ty kotowala ścierki, krzyknęła rozgniewana panna Génie i trzasnąwszy drzwiami wybiegła z kuchni.

— No!.. to mądra dopiero dyspozycyja, rzekła do siebie kucharka wzruszając ramionami, i podług wydanego rozkazu, nastawiła do ognia duży koprak ścierek.

Łatwo pojąć, czy panny bardzo były zadowolone z takiego pensyjonarskiego podwieczorku.

Drugą razą znowu panna Génie, pisała list do rodziny w Szwajcaryi, a do zapieczętowania takowego potrzebowała dla siebie świecy woskowej (bougie). Wbiegłszy zatem do kuchni, przysunęła się szybko do młodego parobka kuchennego, i w głos przy sługach zawołała do niego z uśmiechem:

— Pawelka, daj mi bużi!

Pawełek usłyszawszy te słowa, wytrzeszczył tylko oczy z podziwu, i zatykając usta kułakiem zaczął śmiał się po cichu, lekceważąc sobie taką obcesową propozycyją.

Pawełek, był bardzo poczciwym chłopakiem i szczerze kochał tłustą pomywaczkę Magdę, która od dwóch lat wiernie służyła w domu rodziców. Żadną miarą zatem zgodzić się nie chciał na tak natrętną propozycyją starej i brzydkiej francuzicy.

A panna Génie gwałtowną przecież była i porywczą, zwłaszcza gdy w mig rozkazów jej nie spełniono. Widząc tedy że Pawełek drwi sobie z niej formalnie i śmieje się tylko szyderczo, ani myśląc spełnić danego sobie rozkazu zgrzytnęła zębami, i jednym susem rzuciła się ku niemu z zaiskrzonym wzrokiem i zaciśniętemi pięściami.

Chłopak widząc już teraz jedno że to nie przelewki i że panna Génie uwzięła się koniecznie wydrzeć mu całusa, wyrwał się prawie z rąk jej, i skoczywszy do drzwi porządnego dał ze schodów drapaka.

Génie oniemiała ze złości.

Nie trudno sobie wyobrazić, jaki skutek na gwałtownej piękności, sprawić musiała ta niespodziana scena ucieczki, gładkiego, jasnowłosego a pucołowatego Parysa!

Gniew jej i oburzenie nie znały granic, a obwiniając o brutalstwo nieszczęśliwego Pawełka, szerokie przed rodzicami memi, zawodziła ona na niego skargi i żale. I chociaż wyjaśniono jej potem powody nieporozumienia z biednym chłopcem, widzieć go już więcej na oczy nie chciała.

Nie raz też, ta zbytnia porywczość charakteru francuzki, za daleko ją zaprowadziła, jak tego najlepszym dowodem było, tragiczne w domu naszym zdarzenie, w którem guwernantka pierwszorzędną odegrała rolę.

Panna Génie jak sama mówiła o sobie, z młodych lat już była gwałtownie sercową, ale gdy oczekując niestety napróżno na marzony w snach dziewiczych ideał, a piorunując za to na cały ród męzki, doszła lat Junony, dała wreszcie za wygranę wszelkim matrymonijalnym widokom.

Aby zatem jakkolwiek uciszyć zapały kochającego serca, gorącą miłość swoję przelała na małego L'amie, szpica pokojowego, którego z najżywszą pielęgnowała troskliwością.

Ale któż zbada niebios wyroki! L'amie, ten powiernik marzeń dziewiczych, ten spadkobierca niedoszłych serca afektów zdechł pewnego dnia, pociągając za sobą w otchłań rozpaczy, nieszczęsną duszę panny Génie!

I nie pocieszył już głęboko strapionego serca guwernantki, ani pogrzeb szpicowi wyprawiony uroczyście wśród ciszy nocy, przy świetle księżyca pod różannym krzakiem, ani kosmyk ucięty z grzywki jego nad czołem i w woreczku na piersi pod suknią skrycie noszony, ani nawet kilkotygodniowy upływ czasu od owego fatalnego zdarzenia.

Rozpacz Génie była nieutuloną, a strapionemu głęboko jej sercu, lekką tylko od czasu do czasu przynosił ulgę, widok innych psów kręcących się.

Ojciec miał także pudla domowego. Pudlisko było duże, białe, starannie zawsze umyte i wyczesane, a do pana swego niesłychanie przywiązane.

Psisko to żyjąc w dobrym bycie, różnem sobie schlebiało nawyknieniom, a najulubieńszem z nich, namiętnością prawie, było mu po smacznie zjedzonym obiedzie, wyciągnąć się wygodnie na przednich łapach w pańskim fotelu i małą godzinkę snem niewinności zdrzemnąć.

Rozpacz dziewicy, przez długi czas utulić się nie mogła, a nie władając już sobą i nie mogąc uhamować boleści swojej, wbiega ona raz do pokoju ojca, i widząc śpiącego spokojnie pudla, porywa go za łeb,.. i czule, namiętnie, przyciska pysk jego do ust swoich.

Pudel co prawda był poczciwy i potulny, ale nie znosił nigdy zawadyjackich na siebie napaści.

Zbudzony zatem raptownie ze słodkich marzeń swoich, i w miejsce Zerliny z przeciwka, widząc natrętnie całującą go francuzicę, szczeknął zuchwale, i odgryzł jej wargę.

— Ah!.. canaile de chien! ryknęła skrwawiona guwernantka, i odskoczywszy z gniewem od niego rzuciła się do pokoju matki.

Matka moja pasyjami lubiła „Walter-Scota.“ Guy Mannering (Astrolog) był jej namiętnością!.. Czytała go i odczytywała wielokrotnie, a zawsze brała do ręki z jednakim podziwem i uwielbieniem.

I teraz właśnie po kawie poobiedniej zagrążyła się w wygodnym fotelu, trzymając wzrok utkwiony w ulubionej książce, a roskoszując po raz setny może, Scotowi tylko właściwem według niej, mistrzowskiem obrobieniem kreślonych w powieściach postaci.

Można tedy łatwo wyobrazić sobie jej przerażenie, gdy brutalnie wyrwana została ze słodkich swoich kontemplacyj, i usłyszała gwałtownie wymówione nad głową:

— Canaile de chien! a schwycona za ramię, spostrzegła jednocześnie krew, broczącą się obficie po ręku, z rozdartych ust panny Génie.

Zawołano natychmiast chirurga, który umiejętnie zeszył ranę, i rodzice ponieśli koszta tej kuracyi, aż do zupełnego wyleczenia guwernantki. Ale panna Génie, nie zadowolona była tem przecież i wytoczyła proces rodzicom moim, przegrawszy rozumie się takowy. Rozgniewana więc w końcu, na sędziów, psy i ludzi, odkopała jednej nocy uległe już korupcyi zwłoki swego szczęśliwego L'amie, w czem z inicyjatywy ojca mego, nikt jej nie przeszkadzał, i zabrawszy takowe ze sobą wyniosła się na powrót do Szwajcaryi.

d. c. n.

CNOTY PUBLICZNE

PRZEZ

Adama Szymańskiego.

(ciąg dalszy).

Skupienie własności ziemskiej w rękach nielicznych familij magnatów, spustoszenie kraju w długoletnich wojnach, zupełne pognębienie wiejskiego ludu, wykluczenie mieszczan ze stanów rządzących, nietolerancyja i jezuityzm obok wielu innych przyczyn podkopując coraz bardziej warunki powszechnego dobrobytu, wtrąciły powoli kraj cały w najzupełniejszą nędzę materyjalną. Stopniowy upadek narodowego gospodarstwa, pociągnął za sobą stopniowy upadek oświaty, przyczyniając się w ten sposób do zupełnego skarłowacenia obywatelskiego ducha. W środku XVIII wieku gdy upadek materyjalny dochodzi swego zenitu, w tymże samym czasie przypada najstraszniejsze wycieńczenie moralne. Upadek ekonomiczny przeszedł wtedy w nędzę, o której my żyjący w tak znanych ciężkich czasach, nie mamy najmniejszego wyobrażenia. Nędza była tak wielką i powszechną, że nam teraz trudno jest pojąć, jak biednymi byliśmy w XVIII w., trudno pojąć, dlatego, że my ze swą biedą jesteśmy co najmniej *ze sześć razy bogatsi od ówczesnego społeczeństwa.* Wywóz zboża stopniowo zmniejszając z 60,000 łasztów schodzi w XVIII w. do 30,000 co w połączeniu z zupełnym upadkiem miast, handlu i przemysłu choć trochę

wyświeca nam biedę naszych ojców z XVIII stulecia. Jak poprzednio dobrobyt materyjalny bezpośrednio wpłynął na wspaniały rozkwit intellektualnych sił narodu, tak w XVIII w. tylko tak ciężki upadek materyjalny spowodował również bijącą w oczy nędzę umysłową i moralną. Nie uwzględnianie tak potężnego działacza przy badaniu rozwoju naszej cywilizacyi, nie pozwoli najbystrzejszemu umysłowi wyrwać się po za szranki frazeologicznych ogólników,ładnych co prawda swą szatą, ale dziwnie smutno odbijających od rzeczywistości *). Moglibyśmy tu ograniczyć się na rozpatrzeniu tylko naszego ekonomicznego upadku, jako najważniejszej z przyczyn, które spowodowały skażenie zdrowych pojęć o obowiązkach publicznych; nasze jednak społeczeństwo znalazło się jednocześnie między młotem i kowadłem, doświadczyło całej niedoli przysłowia: „Jedno nieszczęście wlecze za sobą zwykle i drugą biedę.“ Tą drugą biedą były dla nas więzy Jezuickie, któremi zakonnicy Jezusowi skrępowali cały nasz społeczny organizm. Ujemny wpływ ekonomicznego upadku, jakkolwiek wiedzie za sobą, jak wskazaliśmy wyżej upadek innych sił narodu, jednakże nie odbiera możności szybkiego spostrzeżenia złego i tem samem skutecznej poprawy błędów. U nas stało się inaczej. Nieszczęsna reakcyja przeciw podnoszącej coraz śmielej swą głowę reformacyi postępując szlakami wytkniętemi z Rzymu, objęła w swym żelaznym uścisku całą Zakarpacką równinę, przytłumiając z szatańską złośliwością bujnie już rozrosłą oświatę. Jezuickie szkoły w krótkim czasie zalały całą Koronę i Litwę, roznosząc wszędy umysłową nicość, plugawiąc swem zdradzieckiem dotknięciem, nasze serca i głowy. Wysłaniem tych hord Rzym dzielnie poparł zgubny wpływ ekonomicznego upadku na charakter narodu. Tak spotęgowanym wzajemną pomocą wpływom, nie mogły się ostać najzacniejsze cechy naszego narodowego charakteru; musiały upaść w nierównej walce. Wyżej wspomnieliśmy, że jedną z ważniejszych przyczyn, które spowodowały upadek obywatelskiego ducha u nas było skupienie własności ziemskiej w rękach nielicznych familij, wytworzenie magnackich fortun. Nie potrzebujemy silić się na dowodzenia, aby wykazać jak zgubny wpływ wywarło możnowładztwo na charakter tak zwanego ziemiańskiego stanu. Materyjalna zależność zbiedniałej szlachty oddaje w ręce magnatów tłumy rządzącego stanu, a wyrobiwszy w nim podłą służalczość, jako konieczne następstwo podobnego ustosunkowania się, stawi prywatę na pierwszym planie, spacza najzupełniej pojęcia o obowiązkach publicznych lub używa tychże najniegodniej ku osłonie egoistycznych dążeń każdej jednostki. Nowy stan rzeczy zadał zarazem najsilniejsze i najdotkliwsze ciosy systemowi domowego wychowania, nadając mu zupełnie nowy charakter. Najwydatniejszą cechą tego nowego systemu jest pielęgnowanie i potęgowanie w przyszłych ludziach pierwiastku egoistycznego. Nie trudno zrozumieć dla czego pierwiastek egoistyczny zajął pierwszorzędne miejsce między innymi, których wyrobienie zależy od woli wychowawcy. Stopniowe zubożenie stanu ziemiańskiego równocześnie z niesłychanym wzrostem fortun magnackich spowodowało, że nędza materyjalna pierwszych, kazała im widzieć najwyższe dobro w jakim takim dobrobycie, a możność i potęga drugich zachęcały ich do coraz większego zwiększania swej przewagi wyrodziły więc i tu pychę, dumę i miłość własną najgorzej zrozumianą. Nędza milijonów i potęga kilkuset, wniosły w dzielny charakter naszych ojców najbrudniejszy egoizm. Ostateczna nędza materyjalna musiała koniecznie spowodować rozwój indywidualnego egoizmu, człowiek biedny przedewszystkiem myśleć musi o swem własnem dobru; nic więc dziwnego, że nauczony smutnem doświadczeniem każe się rządzić swym dzieciom w przyszłem życiu interesem osobistym z podeptaniem wszelkich innych. Egoizm ten w skutek takowej zależności stanu ziemiańskiego od magnackich zachcianek, w skutek zależności przyszłego losu szlachcica od dobrego lub złego humoru łaskawcy, wyrobił powoli w większości tejże szlachty charakter pozbawiony poczucia wszelkiej samoistności i własnej godności którymi gromko zasłynęliśmy po świecie. Do wyrodzenia się zaś obywatelskiego ducha wśród magnatów, przyczyniły się, chęć rządzenia i panowania, które łatwo rozwijają się w każdym nie będąc tamowaną rzeczywistą gruntowną oświatą, i konieczne następstwo nadmiernego nagromadzenia bogactw, zbytek. Egoistyczne zachcianki magnatów wstrzymywane pierwotnie rzeczywistą oświatą i rozumnem pojmowaniem swych obowiązków, gdy gruntowna kiedyś oświata zamieniła się na powierzchowny blichtr, świecącą a pustą w swej treści ogładą, rozbujałe namiętności stronnicze zasłoniły przed oczami magnatów smutny rezultat do którego samochcąc podążali.

W tej właśnie chwili, gdy możnowładzki wpływ począł już uwydatniać swe skutki, zjawiający się niespodzianie jezuityzm, poparł całą swą potęgą zgubne działanie pierwszego. Pod wpływem jezuickiego wychowania stan ziemiański, przeczuwający już niebezpieczeństwo grożące mu ze strony możnowładzkiej, traci świadomość groźnego niebezpieczeństwa i bezmyślnie oddaje się cały w ręce kilkudziesięciu spotężniałych familij *).

Pod gniotącym ciężarem tych dwu wspólnych wpływów, przeobraża się najzupełniej dawny system w wychowaniu nietylko publicznem ale i domowem a w ślad za nim charakter całego narodu. Zbiedzony szlachcic nie ukazuje już swemu dziecku dobra publicznego jako najwyższego celu życia, nie uczy go jak służyć temu dobru nieraz z zaparciem własnych interesów należy, ale z pod słomianej strzechy ukazuje mu na „sterczące dumnie pałace“ jako cel przyszłej działalności a uczy go, jak służyć i lizać nogi przyszłemu dobrodziejowi i chlebodawcy (*). Gdy złe przybrało karykaturalne rozmiary już w drugiej połowie XVIII w. poczęto myśleć o stanowczej naprawie. Kilkanaście lat usilnej gorączkowej prawie pracy, podniosło ogólny dobrobyt, zmiana systemu edukacyi publicznej rozniosła niemało ożywczego światła; dzięki temu w chwili kary za dawne błędy znękany naród zdołał zebrawszy wszystkie swe siły, przekazać ku nauce przyszłych pokoleń, ostatnią swą wolę, proroczym głosem umierającego człowieka, zdołał wskazać, pozostającym dzieciom, drogę po której iść mają, tą drogą: *nauka i praca.* W jaki sposób dotąd spełniliśmy jego wolę? Niech każdy sam sobie odpowie.

Prawda, nasz ekonomiczny i umysłowy rozwój nie może iść w porównanie z dawnym, ale pole naszej publicznej działalności zarasta teraz temiż samemi co i poprzednio chwastami.

II.

Poprzednio wskazaliśmy wydatniejsze objawy naszego publicznego życia oraz przyczyny które bezpośrednio wpłynęły na zaprowadzenie teraźniejszego stanu rzeczy. Chcąc więc wskazać radykalne lekarstwo na usunięcie istniejącej w społecznym organizmie choroby, ku przyczynom, które ją spowodowały, zwrócić się nam obecnie należy.

„Jesteśmy obecnie przeszło sześć razy bogatsi od swych ojców XVIII w.“ powiedzieliśmy wyżej, i tak jest rzeczywiście. Większa część przyczyn które sprowadziły ekonomiczny upadek społeczeństwa, została usuniętą i postęp pod tym względem nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ostatnia najważniejsza przyczyna, poddaństwo zostało niedawno usuniętą i zbawienne skutki tej reformy dość wybitnie poczynają się uwydatniać. Jednak, pomimo wszelkiego w tym względzie postępu; nie doszliśmy jeszcze do tego, aby ekonomiczny rozwój kraju odpowiadał wszystkim jego potrzebom, nietylko niedoszliśmy, ale, aby tak było, długo jeszcze pracować winniśmy. Przyczyn, które dotąd wpływały na to, iż nasz postęp ekonomiczny nie rozwijał się stosunkowo do wzrastających potrzeb, było bardzo dużo: późne przeprowadzenie reformy włościańskiej, brak szybkich kommunikacyj, zaburzenia polityczne okrom innych, wszystko to nie mogło nie oddziaływać na rozwój naszych ekonomicznych stosunków. Szczególniej ujemnie działała w tym razie ostatnia z wymienionych przyczyn--zaburzenia polityczne każde z nich pozbawiając kraj całych tysięcy najdzielniejszych i najbardziej wykształconych ludzi, cofało go pod względem zasobu sił intellektualnych na kilkanaście lat wstecz; każde z nich rujnując ekonomiczny byt społeczeństwa, pochłaniając od razu zasoby długoletniej pracy, jeszcze gwałtowniej zatrzymywało nasz rozwój ekonomiczny. Jak dotąd była to jedna z najważniejszych przyczyn sprawiających, że pomimo wszelkich pozorów do-

*) W najnowszych nawet publikacyjach naszych historyków nigdzie dopatrzeć nie można należnego uwzględnienia wpływów ekonomicznych na życie narodu.

*) Działalność Jana Zamojskiego i jej ogólne poparcie są najlepszym dowodem, że już wtedy zrozumiano następstwa potęgi magnackiej i chciano przeciwdziałać jej niepomiernemu wzrostowi.

(*) Tylko takie wpływy mogły ujemnie oddziałać na charakter narodu; wszelkie więc przypuszczenia, jakoby system przekupnictwa Brühla i Fryderyka W. miał w tym razie wielkie znaczenie, nie wytrzymują krytyki. Tylko przedmiot, wystawiony na sprzedaż, może być kupionym.

datniego ruchu, prawie nie ruszyliśmy z miejsca. Dotknąwszy tej strony naszego życia, nie możemy nie zadać pytania, które mimowoli prawie nasuwa się przy podniesieniu sprawy nad którą teraz zatrzymaliśmy się.

Niemcy i Francuzi, Anglicy i Duńczycy i wszelkie inne ludy Europy *ekonomiczniej* rządzące się w swych dochodach i wydatkach, wiemy jak skrupulatnie obliczają wydatki nadzwyczajne, bo nie pieniężne ale i krwią braci okupione. Wiemy o tem wszyscy, że w lat parę po ostatniej wojnie Francusko-Pruskiej skrupulatni Niemiec uczeni obliczyli nawet przestrzeń, którą by zajęły zrealizowane na talar straty. Każdego człowieka nie liczącego się ze swymi wydatkami w życiu codziennem chrzcimy zwykłem mianem głupca, zwykli ludzie pomiatają takim człowiekiem i korzystają z jego głupoty, rozumniejsi litują się nad nim. My dotąd pomimo tylu forsownych dla naszej kieszeni wydatków, znajdujemy się w położeniu człowieka nieumiejącego się liczyć z materyjalnym duchem czasu. Wydatkujemy nie wiedząc ile wydatkujemy. Jak marnotrawca goniący resztkami bogatej ojców fortuny, ze wstrętem odpychamy poznanie smutnej rzeczywistości. Zwracajmy uwagę na naglącą nieodwołalną potrzebę zimnych obrachunków, jesteśmy przekonani że nie pozostaną one bez korzyści. Wtedy dopiero przekona się całe społeczeństwo, że stosunkowo do swych zasobów ponoszone przezeń wydatki są kolosalne. Zimne obrachunki, straszne swą nieubłaganą wymową cyfry oddawna winny być naszym najpopularniejszym nauczycielem; czas wielki pozbyć się cyfrowstrętu, naszej chronicznej choroby. Społeczeństwo nasze jeżeli utraciło swój byt samoistny to li tylko dla tego, że straciło większość warunków koniecznych dla dalszego istnienia bo chociaż zbieg okoliczności niemałą odegrał tu rolę, nie objaśnia on jednak dostatecznie spełnionych faktów i powyższą przyczynę przyjąć musimy, jako najbardziej uzasadniony niczem niedający się zbić powód upadku. Nędza moralna, umysłowa i materyjalna przyspieszyła tę smutną chwilę, na te więc pola wszystkie najzdrowsze siły narodu skierować oddawna należy, założyć trwałe podwaliny w spróchniałym do podstaw domu. Rozszerzony do najdalszych zakątków dobrobyt usunie jedno z najważniejszych źródeł, skąd spaczone pojęcia o obowiązkach publicznych rozchodzą się w massach całego narodu.

Przejdźmy teraz do drugiego źródła, z którego stosownie do składających go elementów może tryskać zdrowy i ożywczy napój lub stęchła, zatruwająca społeczny organizm woda; zobaczmy jak odpowiada swemu zadaniu nasze domowe wychowywanie dzieci stojące na straży najdroższych interesów nie tylko każdego społeczeństwa ale i całej ludzkości.

Kto choćby pobieżnie rzuci okiem na teraźniejszy stan oświaty u nas dojdzie do pocieszającego przekonania, że poczucie koniecznego kształcenia dzieci nigdy może jeszcze niebyło tak silnie wpojone w masy jak obecnie. Wzmogło się ono szczególniej od czasu, gdy dobrobyt pomyślniej nieco począł się u nas rozwijać. Dziwnym w obec tego wydawać się musi fakt, że oświata, szerząca się obecnie nie dotknęła dotąd jeszcze swem ożywczem ciepłem najważniejszej strony duchowego życia narodów, nie mogła czy też nie umiała jak należy wpłynąć na zmianę rozszerzonych w masach pojęć o obowiązkach publicznych każdego człowieka. Dziwnem, dla czego ta jedna strona naszego życia stoi jak przed wiekami stała urągając wysiłkom postępu, drwiąc z jego zacnych usiłowań. Gdy ekonomiczny rozwój społeczeństwa tak wzrasta, że nic nie tamuje jego rozwoju we wszelkich innych kierunkach, rozwijać się ono powinno jak najwszechstronniej, czynić coraz to nowsze zdobycze na każdem polu ludzkiej działalności. Jeżeli zaś wtedy którekolwiek z uprawianych pól nie wydaje owoców, harmonizujących z wynikami jego pracy podejmowanej na polu ekonomicznego rozwoju jest to dowód oczywisty, że są tam przeszkody, tamujące wszechstronny rozwój społeczeństwa.

Niepoznanie i nieusunięcie tych przeszkód sprowadza, że dłuższe istnienie tychże zmusza niej ako społeczeństwo do skierowania niezużytych w należnem miejscu sił na inne pole pracy. W skutek zaś takowego spotęgowania jego działalności na jednem polu zmniejszać się muszą jego rozporządzalne środki do pracy na drugim; ogólny całokształt traci swe harmonijne cechy, a jednostronny rozwój społecznego organizmu prędzej lub później sprowadza złe następstwa.

Rozszerzone u nas, a nie harmonizujące z ogólnym stanem oświaty, pojęcia o obowiązkach publicznych wyraźnie stwierdzają, że wszechstronnemu rozwojowi narodowego ducha stoi na przeszkodzie nieusunięta dotąd zapora. Tą zaporą a zarazem *drugą przyczyną* tamującą rozwój zdrowych pojęć o obowiązkach publicznych, jest zły tradycyjny system domowego wychowania dzieci. Teraz gdy ekonomiczny rozwój kraju a z nim i ogólna oświata wzrastają dość pomyślnie, nie omylimy się twierdząc, że oprócz nieuniknionych, koniecznych zmian domowe wychowanie naszych dzieci rządzi się temiż samemi zasadami, których uparcie trzymał się ogłupiały naród XVIII w.

Z bardzo małą odmianą ku lepszemu i teraz, jak w zeszłym wieku t. j. w chwili największego upadku obywatelskiego ducha, domowe wychowanie przygotowuje nam ludzi zdolnych zająć stanowisko rolników, rzemieślników, urzędników, księży i t. p. ale niezdolnych w późniejszym życiu do spełnienia jednej tylko funkcyi—zacnych i rozumiejących swe publiczne obowiązki obywateli. Wprawdzie nie można powiedzieć, że dotąd nic nie zrobiono ku usunięciu złego, zrobiono jednak za mało, gdyż nie pojmowano dokładnie całej doniosłości pierwszego domowego kształcenia dzieci.

Większość naszych ojców i matek nie ma najmniejszego pojęcia o krzywdzie jaką wyrządza społeczeństwu swą nieświadomością nie mają najmniejszego pojęcia o następstwach tej nieświadomości. Teraz więc, gdy ekonomiczny rozwój kraju nie może stawić zbyt wielkich przeszkód rozwojowi zdrowych pojęć o obowiązkach publicznych, *jedyną ważniejszą przeszkodą tamującą ich pomyślny rozrost jest złe domowe wychowanie dzieci.* Dla tego też, aby raz na zawsze uleczyć się z długoletniej niemocy rolę doktora przyjąć obecnie należy naszym rodzicom i pedagogom, a gorliwa i sumienna praca przy najzupełniejszej powolności pacyjentów pozwoli tuszyć, że leczenie nie będzie rzeczą zbyt trudną. O tym pomówmy obszerniej.

Któż z nas nie wie w jaki to sposób postępuje się u nas z dziećmi do lat młodzieńczych? Postępuje się tak, jak tylko z dziećmi a nie przyszłymi ludźmi postępować by należało. Sam wyraz „dziecko“ przybrał w naszych pojęciach jakieś szczególne prawie barbarzyńskie znaczenie. „Dziecko“ to nie człowiek prawie; wyrazem tym oznaczamy coś tak nieokreślonego, mało znaczącego, że oburzać się trzeba, słysząc jego zastosowywania jako najużywańszego epitetu do wszystkiego, co głupie niedołężne i niegodne uwagi. Dziecię w naszych pojęciach równa się jakiejś miłej rzeczy a traktuje się jak ulubiony i roztropny psina starej dewotki. Obchodzimy się z nim jak z ładnym i kosztownym cackiem, omywamy je, czyścimy, okurzamy i pokazujemy światu jako dowód rodzicielskiej pieczołowitości, niepojętej miłości nieustannych trosk i zabiegów Mamy. Nic zatem dziwnego, że podobnym pojęciom odpowiada stosowne wychowanie: z początku zadawalniamy tylko jego cielesne potrzeby, a później puszcza go się samopas do lat 6—7, czekając aż przyjdzie naznaczony od wieków czas nauki dziecka; o tem, że trudno znaleść na 100 dzieci 10% takich dla których przypadłby czas rozpoczęcia nauki w jednym wieku, nikt nawet nie pomyśli. W ten sposób formuje się potworna pociecha rodziny i z takim dopiero materyjałem zaczyna się nauka: rozumie się sposób nauczania nęka wszelkie zarodki myśli i rozumu, o zastosowaniu się nauczającego do indywidualności dziecka mowy nawet być nie może.

Całe wychowanie wedle tradycyjnego zwyczaju pielęgnuje i najstaranniej rozwija w dziecku wszystkie zarodki indywidualnego egoizmu w najrozmaitszych jego przejawach. Otóż to w skutek właśnie zachowania się dotąd tego tradycyjnego systemu wychowania teraz, gdy wszelkie inne przyczyny, wpływające na ujemny rozwój pojęć o obowiązkach publicznych, zostały w większej swej części usunięte—pojęcia te dotąd w niczem prawie nie zmieniły się ku lepszemu.

Wychowywając i ucząc dzieci, dajemy im pojęcia o zabawkach i ich użytku, o tem co może im przykrość a co przyjemność sprawić, o pieniądzach i szczęściu gdy kto ma ich dużo, o tem jak postępować należy aby mieć w przyszłości powóz, ładne konie, takież mieszkanie i wszelkie wygódki, a nakoniec o tem, że aby to wszystko posiadać potrzeba się uczyć; bo kto się nie uczy b. zie biedny, nieszczęśliwy i t. d. Jednem słowem zapoznajemy dziecko ze wszystkiem, co mu może zapewnić bezpośrednie korzyści; naukę wskazujemy mu jako najdogodniejszy cel, za pomocą którego zbierać je później należy. Nie dajemy za to dziecku najmniejszego pojęcia o społeczeństwie, którego członkiem kiedyś będzie, nie wspominamy mu ani jednem słówkiem o zakresie tej przyszłej, publicznej działalności, którą kiedyś rozwinąć powinien. Nie tylko nie obznajmia-

my dziecka ze wszystkiemi stronami publicznego życia, ale przeciwnie starannie usuwamy z przed jego oczu, wszystko co mogłoby mu dać o nim jakie pojęcie. Nie targamy się tu na nasze tradycyje, ale bezwarunkowo potępić je należy jeżeli one nie tylko nieodpowiadają wymaganiom czasu ale zasługują na najzupełniejsze zapomnienie. Źle jest tam, gdzie wychowanie rządzi się tradycyją; nigdy ona w tym razie nie doprowadziła do żądanych celów. Wychowaniem dzieci tylko rozum może i powinien kierować jeżeli gdzie to tu miamianowicie należy mu być samowładnym naszego postępowania panem.

d. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XI.

Dyjetetyczna recepta przeciw cierpieniom żołądka.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Żołądek, jako najważniejsze narzędzie trawienia, doprowadzające do naszego ciała nowy pożywny, a zatem konieczny do życia materyjał, wymaga bardzo starannego pielęgnowania. Rozstrojenie żołądka bywa zazwyczaj następstwem złego drażniącego pokarmu, uciskania powierzchni żołądka zbyt wązką odzieżą i pochylonego siedzenia. Chociaż te ostatnie przyczyny działają bardzo powoli, nie mniej jednak mogą one spowodować nieuleczalne choroby żołądka. Objawy rozstrojenia żołądka są bardzo rozmaite; do nich należą: uczucie pełności lub czczości, ściskanie, palenie, kłócie lub mocne bóle kurczowe (kurcz żołądka) w dołku sercowym a właściwie żołądkowym; wzdęcie, natężenie, czułość przy ucisku górnej okolicy brzucha; brak apetytu, nadzwyczajny głód, skłonność do mdłości, odbijanie, czkawka, zgaga wymioty. Za pomocą tych ostatnich może być wydalony pokarm, w połowie lub całkiem nie strawiony, a wraz z nim śluz, żółć i krew. Czy język przy owych dolegliwościach jest obłożony lub nie, okoliczność ta, małe w każdym razie posiada znaczenie.

Przytoczone powyżej objawy chorobowe, towarzyszące rozmaitym cierpieniom żołądka, mogą wielce się różnić przy jednej i tej samej chorobie u rozmaitych osób; nierzadko, występują one bez szczególnego cierpienia żołądka, jak np. przy zajęciu nerwów żołądka i mózgu (migrenie), przy zastoinach krwi w żołądku, w skutek cierpienia wątroby, serca i płuc; nawet, przy zwykłej niedokrwistości (bladaczce) i rozstrojeniu umysłu. Jeżeli zaś zjawiają się one nagle i w bardzo silnym stopniu, wówczas trzeba podejrzywać *zatrucie*, *uciśnięcie przepukliny*, a w wielu razach *ciążę*. Gdy znów powstają stopniowo, wzmagają się powoli i trwają już od pewnego czasu, wtedy należy domyślać się cierpienia żołądka (wszystko jedno jakiego rodzaju) i zachowywać następujące przepisy:

Rec. *Dostateczną przestronność odzieży,* [1]) *tak ażeby żołądek mógł się swobodnie rozszerzać i poruszać, szczególniej podczas przyjęcia pokarmu i po wydaleniu tegoż.*
Ciepłe utrzymanie żołądka [2]), *zewnątrz i wewnątrz.*
Małą ilość pokarmu, [3]), *przyjętego naraz. Łatwostrawny* [4]), *płynny lub papkowaty pokarm.*
Niepobudzające środki [5]) *pożywne i lecznicze.*

S. *Dyjeta ta powinna być zachowaną ściśle przez czas dłuższy, i bez przerwy, zwłaszcza, jeżeli żołądek cierpi już oddawna.*

Co do 1-go). *Uciskanie żołądka* ma miejsce przeważnie w skutek noszenia wązkiej odzieży. U płci żeńskiej, która daleko częściej, aniżeli męzka, podlega rozstrojeniu żołądka, uciskanie to powodują tasiemki spódnic i sznurówki, szkodząc tym sposobem zarówno żołądkowi i wątrobie. Pochylone siedzenie, zwłaszcza natychmiast po przyjęciu pokarmu, działa także szkodliwie na żołądek. Należy więc starać się o dostatecznie luźną odzież w okolicy żołądka oraz o proste siedzenie.

Co do 2-go). *Ciepło* jest prawie zawsze dobroczynnem dla chorego żołądka; jedynie, przy wymiotach krwawych trzeba w miejsce niego, używać zimna (nawet lodu), tak wewnętrznie jak i zewnętrznie. Dla wewnętrznego ogrzania żołądka, wystarcza zwyczajna, ciepła woda, którą trzeba pić w małych ilościach, lecz za to częściej. Zewnętrzne zaś utrzymanie okolicy żołądka w cieple, osiągamy najlepiej przez noszenie pasa flanelowego (nabrzusznika); niekiedy, pożyteczną jest rzeczą, użyć w tymże celu ciepłych okładów (z kaszy owsianej lub siemienia lnianego), albo ogrzanych kamieni, chust talerzy, i t. p.

Co do 3-go). Chory żołądek nie powinien być obciążany nadmierną ilością pożywnych istot; dla prawidłowego więc odżywiania żołądka, potrzeba używać pokarm *w małych tylko naraz ilościach*, lecz za to częściej. Zupełne wstrzymanie się od pokarmu, wywołuje niedokrwistość osłabienie i schudnienie ciała.

Co do 4-go). *Pokarm* powinien być *bardzo łatwy do strawienia*, szczególniej zaś ten pokarm, który, zostaje trawionym przeważnie przez żołądek, t. j. zawierający białko, jak np. mięso, jaja, ser, chleb i owoce strączkowe. Rzeczony jednak pokarm, najlepiej trawi się przy użyciu go w postaci płynnej lub papkowatej, z małym dodatkiem tłuszczu; zaleca się przeto najwięcej do użycia: mocny, niezbyt tłusty rosół mięsny (zupy i sosy mięsne) oraz jaja na miękko. Mleko, którego sernik krzepnie w żołądku, mniej bez porównania bywa pożytecznem, i nigdy nie powinno być używane w wielkiej naraz ilości, ani też zbyt gęste. Mięso wszelkiego rodzaju, lecz jedynie w dobrym gatunku i miękko ugotowane lub upieczone (nie zaś solone lub wędzone), wtedy tylko bywa nieszkodliwe, gdy jest pokrajane na drobne kawałki i dobrze pożute. W ogóle, każdy pokarm twardy, zanim zostanie połknięty, powinien być wprzódy, za pomocą żucia, na miękką zamieniony papkę. Przy chorobach żołądka trzeba wystrzegać się: chleba razowego, jaj na twardo, kartofli, sałaty i wszelkich zielenizn, sera, szynki i w ogóle mięsa wędzonego, kiełbas, tłustych i suszonych ryb, świeżego pieczywa, marynat i owoców.

Co do 5-go). *Materyje pobudzające* powinny być starannie unikane przy cierpieniach żołądka. Szczególniej należy wystrzegać się zimnych napojów (lody, chłodniki, woda z lodem, piwo) ostrych korzeni (zwłaszcza pieprzu i gorczycy), mocnych napojów wyskokowych (wódka, arak, wino) i kwasów. Ponieważ przy paleniu cygar i papierosów, ślina miesza się z sokiem tytuniowym, i nierzadko bywa połykaną, co sprowadza szkodliwe dla żołądka następstwa, potrzeba więc porzucić palenie, lub gdyby pacyjent nie mógł się odeń wstrzymać, to powinien palić tylko fajkę lub za pośrednictwem munsztuka.

Co się zaś tyczy lekarstw, tych należy zupełnie unikać przy chorobach żołądka.

Nauczanie elementarne,

PRZEZ

A. Celichowskiego.

(dokończenie).

Naukę rachowania nie należy w szkole ludowej na samem tylko rachowaniu przy tablicy ograniczyć, lecz równocześnie z rachowaniem ustnem czyli pamięciowem połączyć. Przyczynia ono bowiem jeszcze i tę korzyść, że tu dziecko nie jest tak związane owemi mechanicznemi szematami, jak to się ma przy rachowaniu piśmiennem, ale owszem tworzy sobie samo różne kombinacyje w głowie, i stara się różnorodnemi i jak najkrótszemi sposobami dochodzić do rezultatu. Rachowanie więc w głowie ma tę własność, że przedewszystkiem działa na rozwijanie myśli, rozumu, który tu bierze górę nad zwykłym i do pewnych formułek przyczepionym mechanizmem w rachowaniu piśmiennem. Nadto jeszcze rachowanie ustne działa na umocnienie i udoskonalenie pamięci, tej nieocenionej, i najważniejszej władzy ducha naszego. Dzieci, które ciągle rachują ustnie, nabierają takiej wprawy i łatwości w rozwiązywaniu zadań, że szybciej i z większą dokładnością dochodzą do rezultatu, niźli dzieci z piórem lub kredą w ręku. Rachowanie więc pamięciowe czyli ustne jest przedewszystkiem duchowo kształcące, i nie tylko że nie powinno być zaniedbane, ale ręka w rękę od pierwszego do ostatniego stopnia w nauczaniu elementarnem rozwijane.

Przy rachowaniu pamięciowem należy dzieci przyuczać, aby nie myślały o liczbie jaką im się podaje, lecz jedynie o *ilości*, jaką ta liczba wyobraża, aby nie *zmysły*, lecz *myśli* i rozum działały. Dochodzi się zaś do celu w ten sposób, że jedno i to samo zadanie w różne sposoby z dziećmi się rozwiązuje. Dowiedzioną bowiem jest rzeczą, że dzieci w elementarnem nauczaniu więcej odnoszą korzyści z *jednego* przykładu rozwiązanego na dzie-

sięć sposobów, niźli z *dziesięciu* przykładów rozwiązanych w jeden sposób. Na tem kończymy o rachowaniu.

Do nauki o *świecie* czyli nauk *realnych* zaliczamy, jak to już wyżej powiedzieliśmy jeografiją, historyją, nauki przyrodzone i rysunki. W szkołach początkowych zwłaszcza miejskich dwu-klasowych powinny przedmioty te, przy coraz więcej budzącem się dążeniu do powszechnej wiedzy i ogólniejszego ukształcenia wśród ludu, bardzo poważne zająć miejsce. Jakiekolwiek bowiem dziecko szkoły początkowej zajmie w przyszłości stanowisko, to w każdej kolei życia zetchnie się z tymi przedmiotami. Dzieci dzisiejszej szkoły początkowej chcąc wiedzieć, co tam słychać w miastach, nie tylko najbliżej ich położonych, ale i na dalszej przestrzeni, w jakim kierunku ta lub owa rzeka płynie, w której nurtach letnią porą tak przyjemnego doznają wrażenia; co też tam ludzie i stare księgi mówią o dziejach tych miast, ich książętach, królach i cesarzach; jak się nazywają te i owe kwiaty i trawy, po których często depczą, uganiając się po łąkach i ogrodach za różnobarwnymi motylami i innemi owadami, albo też jak się nazywa ten krzak lub drzewa, które tak piękne i wonne wydają kwiaty i owoce; dla czego na deszcz się zanosi, gdy kurek na wieży ku wschodowi lub północy wykręcany, lub dym po oczach bije; skąd pochodzą i co to są za ognie, które po gorącym dniu śród strasznego i przerażającego je huku z chmury do chmury lub do ziemi przelatują; co to są za światełka, które w nocnej dobie nad bagnami i łąkami się unoszą, a które lud prosty dyjabłami ludzi zwodzącymi być mieni. I któż wymieni tyle innych rzeczy i zjawisk o które się człowiek każdy w życiu ociera i z niemi na każdym kroku spotyka. To wszystko powinno być dzieciom w szkołach początkowych miejskich, a względnie i wiejskich wytłomaczone, objaśnione; a wytłomaczyć i objaśnić im tylko można przy nauce wyżej wspomnionych przedmiotów naukowych.

Wszakże powinna tu być pewna miara zachowana. W szkole początkowej realija te *nie powinny być obszernie* i *systematycznie* wykładane. Nie byłoby nawet i czasu na to, a gdybyśmy go chcieli znaleść, działoby się to ze szkodą owych trzech przedmiotów najgłówniejszych, jakimi są: religija, nauka języka i rachunki. Nauka o świecie powinna w szkole początkowej w pewne elementarne ramki być zamknięta i to tak, że nad wyborem, miarą i objętością mającego się wykładać przedmiotu, jako też i o czasie mającym się na to zużyć, rozstrzyga wiek i uzdatnienie dzieci, a w końcu potrzeba odnośnie do miejscowości, jakoby się w praktycznem życiu wykazać zdawało.

Co do sposobu, w jaki owe realija powinny w szkołach początkowych być wykładane, to zaznaczymy tylko, że nie należy dla każdego przedmiotu naznaczać osobnych godzin planowych. Mówiąc o jednym przedmiocie wciąga się drugi, do tego znowu inny z nim w związku stojący, dając opis kraju jakiego czy to ojczystego, czy sąsiedniego, łączy się równocześnie objaśnienia z nauk przyrodzonych i tym podobnie... zawsze trzymając się owej kardynalnej zasady w nauczaniu elementarnem: że należy postępować od najbliższego ku oddalonemu, od pojedyńczego ku złożonemu, od łatwego do trudnego, od znanego do nieznanego. Będzie to rzeczą nauczyciela uznać i przysądzić co i jak daleko w realijach w jego szkole da się z dziećmi postąpić. Pewien normalny, pod sznur i cyfrę podciągnięty i z góry nakreślony przepis da się tylko w małych razach zastosować, a najczęściej przytłumi wszelkie swobodne rozwijanie się szkoły. Nauczyciel wykieruje się na maszynę, a dzieci na rodzaj maryjonetek bez życia, wiedzy i ducha. Ale jeżeliby nam koniecznie przyszło określić ściślej, co w jakiej szkole ma być nauczane, to byśmy tak oznaczyli: w szkołach jednoklasowych powinna być nauczana religija, nauka języka, rachunki i cokolwiek z ojczystej jeografii; w szkołach zaś *dwuklasowych* reszta przedmiotów wchodzących w zakres nauki szkół początkowych, o których wyżej mówiliśmy.

Przychodzi nam jeszcze pomówić nieco o nauce śpiewów w szkołach początkowych. Że śpiew jako gałęź sztuk pięknych podnosi i uszlachetnia umysł człowieka, nie potrzebujemy na tem miejscu dowodząco mówić. Z tego już samego powodu powinien w szkole początkowej być uprawiany. Każdy też człowiek ma wrodzony pociąg, śpiewem uwydatnić swoje uczucia, czy one są wypływem radości czy smutku; szczególniej zaś dzieci mają skłonność do śpiewu, już to podczas zabawy z drugimi, już też oddane samotności. Naśladują one po większej części śpiew starszych, a nawet wyuczają się samowolnie i to nie zawsze pożądanego tekstu. Szkoła przeto ma obowiązek nie tylko tę wrodzoną skłonność w dzieciach kształcić i rozwijać, ale nawet dać dzieciom pewien zasób pięknych, uczucie szlachetne i moralność podnoszących piosnek, aby je tym sposobem odwrócić od piosnek po za szkołą usłyszanych, a często brudnej i niemoralnej treści. W piosnce leży częstokroć piękna i głęboka myśl, którą dziecko zrozumie i na długie lata w pamięci zatrzyma. Im więcej różnorodnemi drogami dziecko prowadzi się ku temu, co je uszlachetnia, duszę jego podnosi, tym więcej skarbów gromadzimy w niem na przyszłą wędrówkę w życiu.

Określając bliżej stanowisko tej sztuki pięknej w szkołach początkowych, podzielimy naukę śpiewu na dwie części: na śpiew kościelny i światowy. W szkołach wiejskich i jedno-klasowych małych miasteczek, przeważnie położyliśmy przycisk na wyuczanie dzieci śpiewów kościelnych, a ile czasu od wyuczania tych zbędzie, na ćwiczenie głosu dzieci w śpiewach światowych czyli wesołych. Nie ma w kościele piękniejszej, więcej budującej i do modlenia się zachęcającej muzyki nad śpiew dzieci szkolnych, ale czysty, zgodny z organami i dobrze prowadzony. Niestety, i pod tym względem jest straszne zaniedbanie. Wnijdźmy do jakiego kościoła parafijalnego wiejskiego lub mniejszego miasta, to jakież tam spostrzeżenie zrobimy? oto, że dzieci albo wcale nie śpiewają, albo też tak przeraźliwie, niezgodnie ani z sobą, ani z organami wrzeszczą, że ich śpiew więcej podobien do beku owiec i cieląt, aniżeli do nadobnego śpiewu dzieci. Śpiewem takim więcej przeszkadzają w nabożeństwie, aniżeli do onego podniesienia się przyczyniają. Cała odpowiedzialność za to spada na nauczycielów i nauczycielki, którzy albo zupełnie śpiew w szkole zaniedbują, albo po macoszemu go traktują.

Przy wyuczaniu dzieci piosnek światowych powinien nauczyciel przedewszystkiem starać się o wybór piosnek treści moralnej, do młodocianego umysłu przypadającej i dla dzieci zrozumiałej. Nauka śpiewu tak kościelnego jako też i piosnek wesołych, powinna być prowadzona tylko na jeden głos i ze słuchu. W szkołach wszakże dwuklasowych, gdzie jest więcej czasu i sił uczących, powinni nauczyciele probować wprawiania dzieci do śpiewu na dwa głosy. Ale to nie ma być obowiązujące, a raczej zostawione nauczycielowi do woli, jego chęci i zamiłowaniu. Bez ostatniego nic się w śpiewie nie zrobi. Jeżeli który przedmiot w szkole początkowej zawisł od osobistej skłonności samego nauczyciela, to będzie nim niezawodnie śpiew. Jeżeli nauczyciel sam przez się muzykalny, t. j. będzie miał dar wrodzony ku tej gałęzi sztuk pięknych, to i śpiewy pójdą pięknie w szkole, w przeciwnym razie, będą to tylko głosy bez czucia i melodyi.

Zostawiwszy wszystko cośmy o śpiewie powiedzieli, dałoby się to treściwie w dwóch punktach zawrzeć. W szkole początkowej powinny dzieci do tego być doprowadzone, ażeby śpiewem kościelnym przyczyniały się do upiększenia i podniesienia samego nabożeństwa, a modlących się tym większego zbudowania, a potem, gdy już szkołę opuszczą, aby miały pewien zapas wesołych, moralnych piosnek, któremiby sobie mogły czy to jakąś chwilę samotną, czy też jakąś inną, w życiu człowieka tak często się wydarzającą uprzyjemnić. Dobre zbiorniki tak kościelnych, jako też i światowych śpiewów, o które znowu nie tak trudno, ułatwią nauczycielowi zadanie i pracę.

STAW KSIĘDZA OPATA

przekład z Angielskiego.

ROZDZIAŁ I.

„Ona wypłacze wszystkie swoje łzy, wypowie Bogu wszystkie żale niewieście. Lecz serce jej zbyt jest młode, by wiecznie cierpieć miało, i nadzieje jej zakwitną znów pod wpływem letniego słońca jej życia."

Mrs. B. Brownie.

— Tak jest niezawodnie, moja droga, mówił wikary z Sedgebrooku wyciągając nogi obute w pantofle i rozciągając się wygodnie w poręczowem krześle, aby użyć miłego wypoczynku w ciepłym i miłym pokoju, po całym dniu spędzonym na bieganiu po błotnistych ścieżkach prowadzących od jednego do drugiego domku jego ubogich parafijan, tak moja droga, spotkałem dziś po południu Den-

bigha, i zapytałem go czy mam mu powinszować, na co odpowiedział: „tak jest, rzecz już stanowczo ułożona.“ Zdaje się być wielce zadowolonym, chociaż tego podług swego zwyczaju na zewnątrz nie objawia.

— Nie dziwię się temu wcale, odrzekła pani Carter, nalewając herbatę. Muszę zaraz jutro pójść powinszować biednej Elsie.

— Wiem że nie możesz jej darować tego iż powtórny zrobiła wybór, rzekł z uśmiechem wikary. Ja z mej strony pochwalam jej rozsądek, który ją skłania do oddania się w ręce człowieka zacnego i zdolnego, który jej zapewni najtroskliwszą opiekę i byt niezależny.

— Byt niezależny! Wy mężczyzni zawsze tacy jesteście! zawołała pani Carter; na wszystko się zapatrujecie z materyjalnego punktu widzenia. W tym razie jednak, gotową jestem przebaczyć biedaczce — tylko porównywając pana Denbigha z Herbertem Claveringiem!...

— Kiedy o tem mówisz, moja droga, to powiem ci, że Clavering był sobie dobrym i miłym człowiekiem, ale Denbigh...

— O! jeżeli zechcesz mierzyć na łokcie i na funty, nie ma wątpliwości który z nich otrzyma pierwszeństwo, pan Denbigh bynajmiej nie jest *człowieczkiem*, ale też i dobrym i miłym nie koniecznie.

— Nie umiesz ocenić Denbigha, Mary; a ja cię zapewniam że to dzielny mąż.

— Co się tycze jego zdolności, nie sprzeciwiam się temu. Każdy wie, że jest najlepszym doktorem w Slowshire. Nie pojmuję nawet co go skłania do pozostawania w naszej lichej mieścinie. Ale nie mogę znieść takich sztywnych, jakby z szarego marmuru wykutych ludzi, których oczy na wskroś jak świdrem przeszywają.

Herbert Clavering zaś, miał w całej swej postaci coś otwartego, pogodnego, słowem pociągającego. Tego człowieka nigdy nie lubiłam, nie lubię i nigdy lubić nie będę.

— To szczęście że tu więcej idzie o to, żeby go pani Clavering kochała.

— Tak, jeżeli go kocha, ale powtórne zamęźcie kobiety nie koniecznie dowodzi, że zapomniała o numerze pierwszym, a pokochała numer drugi, tylko najczęściej wychodzi za mąż dla tego, że nie może znieść przykrego osamotnienia.

— Ależ kochana Mary, pomyśl jakiem dziecięciem prawie była biedna Elsia kiedy pierwszy raz wyszła za mąż — szesnaście lat kończyła w dzień swego ślubu.

Nie dziwiłbym się gdyby właśnie Denbigh wzbudził w niej prawdziwą miłość.

— Być może, rozmaite są gusta. Ach dobry Boże! Zdaje się tak niedawną chwila kiedy ty Johnie łączyłeś związkiem małżeńskim te dwie młode, szczęśliwe istoty: Herberta Claveringa i śliczną Elsie Willis!

— Cztery lata już upłynęło od tego czasu, droga Mary.

— A w tych czterech latach tylko cztery miesiące szczęścia dla biedaczki! Jak ślicznie wyglądała, nieprawdaż? oddając wizyty po ślubie! z jak pogodną ufnością spoglądała w przyszłość, pewna że Herbert otrzyma posadę, która jej pozwoli nie rozłączać się z nim, a potem, kiedy musiał odjechać, ileż wycierpiała na wiadomość, że *Ametyst* nie przybył do Hong-Kong we właściwym czasie! To jednak szczególne, że Clavering przybył tutaj jako przyjaciel pana Denbigha! Byli szkolnymi towarzyszami, nieprawdaż?

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której wikary przystąpił do stołu i zajął się krajaniem szynki i obieraniem jaj. Pani Carter znowu przemówiła.

— Ja sądzę że pan Denbigh oddawna się już w niej kochał. Wiadomo ci że poprzednio był zależnym od swego wuja i nie mógł się żenić. Przypominasz sobie jak nam się dziwnie zdawało, że nie był na weselu, chociaż pan młody był jego przyjacielem? Z tem wszystkiem może i nie będzie złym mężem, chociaż powiem ci Johnie, że mógłby czasem bywać w kościele, choćby raz na rok...

— Zapewne; to jest poniekąd skaza na charakterze Denbigha. Wiesz że go dawniej o to strofowałem, ale on powiada, że trudno mu pogodzić uczęszczanie na nabożeństwa z innemi jego obowiązkami. Wiem co chcesz powiedzieć, moja droga, rozumiem co znaczy twoje spojrzenie, ale bądźmy wyrozumiałymi. Powinniśmy sądzić drugich podług ich własnej miary.

— Czy tak? Ja zaś sądziłem, że jedna tylko jest miara dla wszystkich.

— Nie jest nigdzie napisano abyśmy obowiązani byli potępiać drugich, odparł wikary. Ludzie muszą postępować tak jak im jest dano, moja droga; a jeżeli wiara Denbigha nie jest taką jaką by być powinna, posiada on za to miłosierdzie, które pokrywa wiele grzechów, jest życzliwym, troskliwym i starannym dla biednych, a to nie mało znaczy, pozwól sobie powiedzieć.

— Zbyt jesteś pobłażliwym, kochany Johnie, rzekła pani Carter, wzruszając znacząco ramionami. Małżonka wikarego bowiem nie podzielała szerokiego poglądu tego zacnego męża w rzeczach wiary i kościoła. Po chwili milczenia, przemówiła znowu cichszym i poważniejszym głosem:

— Johnie jedna rzecz mnie trapi. Jestże to pewnem, że ten biedny człowiek nie żyje? Możeż Elsie spokojnie wstąpić w powtórne śluby?

— Moja droga Mary, odrzekł z uśmiechem wikary, gdyby żył, gdzieżby się podziewał? Już dwa lata upłynęło, odkąd usłyszeliśmy o rozbiciu Ametystu.

— To prawda, potwierdziła smutnie pani Carter. Wszystko więc jest w porządku. A jednak, wstyd pomyśleć! Biedny Herbert Clavering! Wszakże ja pragnę aby rzeczywiście nie żył! O Johnie! tego wszystkiego są przyczyną te nienawistne powtórne małżeństwa; przez nie w sercu człowieka mimowolnie się budzą takie okropne, mordercze życzenia.

Małżonkowie podczas tej rozmowy ukończyli swoję herbatę, i pan Carter zadzwonił aby mu do jego pokoju zaniesiono światło. Żona jego zajęła się swoją wieczorną robotą, ale nawlekając i wyciągając igłę, nie przestawała myśleć o smutnej historyi, której właśnie nowy rozdział miał się rozpocząć.

Tymczasem, dwie interesowane strony, będące przedmiotem rozmów wszystkich mieszkańców Serdgebrooku, zapominały o całym świecie, sobą tylko wzajemnie zajęte.

Elsie Clavering spędziła niedługie jeszcze lata swego życia na probostwie, jak nazywano malowniczy, bluszczem obrosły domek, wznoszący się tuż obok kraty cmentarnej. Tu babka jej, wdowa po poprzednim wikarym, przyjęła ją maleńką sierotką; tu ją poznał jej młody małżonek, pokochał i wzajem pokochsny został podczas dwutygodniowych tylko odwiedzin, tu ją zostawił udając się w ową podróż z której nigdy nie miał powrócić, tu też zamieszkała stale, pierwej ze swą babką, następnie sama po śmierci staruszki, tu i teraz siedziała na niskim taborecie przy kominkowym ogniu, który oświecał skromny pokoik miłą różową jasnością. Wydawała się tak młodą, że trudno było uwierzyć iż już przechodziła największą radość i największą boleść niewieściej doli — niktby jej nawet nie dał dwudziestu lat wieku. Piękność jej delikatna, miękka, miała w sobie coś dziecęcego. Nie podobna było przypuścić aby jej skromna czarna sukienka, uwydatniająca świetną białość jej płci, znaczyła żałobę po mężu, lub żeby jasne zwoje jej włosów spadających na ramiona, były tak krótkie dla tego, że nie dawno je ucięła bo się zmieścić nie mogły pod wdowim czepcem. Jakkolwiek to wdzięczne stworzenie przechodziło już ciężkie niepokoje i wszelkie boleści, ale te nie zostawiły śladów na młodem obliczu, wprawdzie była jakaś zadumana powaga w łagodnem spojrzeniu jej wilgotnych oczu ocienionych długą ciemną rzęsą i w pół smętnym uśmiechu ust koralowych, ale cera kwitnęła zdrowiem i świeżością, i żadna zmarszczka na czele nie zdradzała przebytych cierpień i zawiedzionych nadziei. Wielbiciel młodej kobiety siedział obok niej, tak nisko, że znajdował się prawie u nóg jej. Uderzającą sprzeczność tworzyła delikatna, niemal młodociana piękność kobiety z okazałą postawą śniadego mężczyzny, którego poważne obejście starszym nad wiek czyniło.

— Niechże będzie piętnastego, droga Elsie, mówił błagalnie, życie jest krótkie, a ja przez ostatnie cztery lata wycierpiałem więcej prawie niż człowiek znieść może. Nie będę spokojnym dopóki zupełnie moją nie zostaniesz.

— Czegóż się jeszcze obawiasz? zagadnęła Elsie.

— Wszystkiego — może upiora z tamtego świata. Pamiętam, że kiedym był w szkołach, ilekroć zbliżały się wakacyje, zdawało mi się że nie dożyję tej upragnionej chwili. Podobno teraz tego samego doznaję uczucia myśląc o dniu naszego ślubu, droga Elsie.

— Niechże będzie tak jak chcesz, Filipie; rzekła z lekkiem westchnieniem młoda kobieta. I ja podziękuję Bogu wtenczas. Nie uwierzysz drogi przyjacielu jaką pociechą będzie dla mnie rozpoczęcie nowego życia, w którym znajdę obowiązki i ciebie będę miała za opiekuna. Tak długo byłam nieszczęśliwą i samotną!

Łzy napełniły jej oczy i spłynęły zwolna po licach, ale on objął ją w swe ramiona i pocałunkami je osuszył, wezwał Boga na świadka, że najmniejsza chmurka nie zasępi jej czoło odkąd zostanie jego żoną, przysięgał, że skoro on czuwać będzie nad jej życiem, stanie się ono podobnem do pogodnego dnia letniego.

Gwałtowność jego zdawała się zatrważać młodą kobietę, uwolniła się z jego uścisków i cofnęła drżąca.

— Nie mów tak Filipie, rzekła, przestraszasz mię. Kto może przewidzieć co nam Nieba gotują w przyszłości? Ja już nauczyłam się nie rachować na szczęście, a nadewszystko nie myśleć wiele o przyszłości, ona bowiem nie jest w naszej mocy.

— Ona więcej niż ci się zdaje jest w mocy człowieka, odparł Filip Denbigh. Ja wierzę iż wytrwałe, gorące pragnienie jakiej rzeczy, z wyłączeniem wszelkich innych uczuć i myśli, nie rzadko doprowadza do pożądanego celu.

To powiedziawszy zamilkł, gdyż uczuł pewny wyrzut sumienia zapytując sam siebie czy właśnie trwała jego miłość dla Elsie nie przybrała charakteru takiego namiętnego pragnienia, które też spełnionem zostało kosztem wielkiego nieszczęścia? Uśmiechnął się jednak i dodał swobodniej:

— Widzimy kiedy los przygnębi nieszczęśliwego, ale któż wie ile razy silna wola człowieka losem zawładnęła?

Może oboje nie gniewali się o to, że ich sam na sam przerwane zostało nadejściem trzeciej osoby, miłej staruszki, sąsiadki pani Clavering, którą ta ostatnia uprosiła aby przy niej zamieszkała do czasu jej zamęzcia. Elsie wprawdzie najszczęśliwszą była wtenczas, kiedy narzeczony przy niej się znajdował, ale czasem przerażała ją gwałtowność z jaką wyrażał swe uczucia, prawie niepojęta dla niej. W obec świadków pan Denbigh bywał więcej w sobie zamkniętym, a rozmowa jego nauczająca i urozmaicona, o wiele wyższa treścią nad zwykłe miejscowe pogadanki, najżywszą rozkosz sprawiała Elsie, która chociaż sama nie bardzo wykształcona umysłowo, umiała ocenić wartość nauki, i obdarzona była tą pojętnością uległą, jaką mężczyzni lubią znajdować w swych siostrach lub żonach. Sama obecność Filipa Denbigha przynosiła jej niewysłowioną przyjemność i zadowolenie. Pasowała do niego wybornie, używając pospolitego wyrażenia, czyli mówiąc wyższym stylem, zadawalniała wszystkie wymagania jego natury. Jej słodki wdzięk, łagodny i uległy charakter, jej usposobienie pełne miłego spokoju, tak odmienne od jego własnej popędliwości, to wszystko zachwycało go. Stary stryj, któremu zawdzięczał swoję praktykę, oraz dom z ogrodem i polem, znany pod nazwą folwarku Opactwa, dał mu także ukształcenie wyższe nad to, jakie zwykle bywa udziałem wiejskich lekarzy. Kilka szczęśliwie dokonanych kuracyj zwróciło później na niego uwagę niektórych znakomitości lekarskich w Londynie i Paryżu, nakłaniano go po kilkakrotnie aby nie marnował swych zdolności w tym odległym kącie, i korzystał z czynionych sobie zaszczytnych propozycyj. Aż dotąd stale odmawiał, jedni sądzili że czynił to powodowany jakiemś rycerskiem przywiązaniem do starego Sedgebrooku, gdzie od niepamiętnych czasów zawsze Denbigh był lekarzem, inni przypuszczali, z większą może słusznością że nie mógł się oderwać od miejsca gdzie Elsie Clavering odbywała swą długą żałobę. Żegnając ją tego wieczoru rzekł do niej:

— Teraz będę miał więcej energii i więcej ambicyi. Czyby ci to przykro było, Elsie, gdybym cię kiedyś wywiózł ze starego Sedgebrooku?

— Bynajmniej, z tobą wszędzie mi będzie dobrze, odpowiedziała patrząc mu w oczy ze swym wdzięcznym uśmiechem.

— Chciałbym ci dać siedzibę weselszą od starego ponurego folwarku opactwa, dodał jeszcze. Chciałbym aby moja Elsie zajęła kiedyś miejsce pomiędzy domami naszego hrabstwa.

Pożegnawszy ją serdecznie wyszedł przez cmentarz na główną ulicę, następnie zwrócił się na boczną ścieżkę, która go doprowadziła do biało pomalowanej bramy, tę otworzywszy, przez wązki kawałek ogrodu dostał się do swego domu. Był to niezgrabny budynek ciemno-czerwonego koloru, ze staroświeckiemi oknami w szarych kamiennych ramach. Kiedyś należał do jakiegoś zgromadzenia zakonnego, i stąd pochodziła jego nazwa. Mała sień wchodowa i kwadratowy salonik miały okna na ulicę: niekształtna oficynka późniejszego stylu z osobnem wejściem mieściła pracownię lekarza i aptekę, dwa obszerne pokoje od tyłu, wychodzące na ogródek z widokiem na pole, dopełniały mieszkania. To pole było postrachem dla niedorostków miejscowych, bo w jednym rogu jego znajdowała się spora sadzawka, z pozoru czarna, która jak niosło podanie, miała być niezmierzonej głębokości, otaczały ją z trzech stron wysokie ławy, a z czwartej ocieniała ją stara olcha, na której, według tegoż samego podania został powieszonym ostatni opat, a ciało jego wrzuconem do wody która odtąd smutnej nabrała sławy. Naturalnie że duch nieszczęśliwego nawiedzał to miejsce, i żaden chłopak wiejski nie dałby się za żadne skarby świata namówić, żeby po zachodzie słońca pójść w ten kąt przeklęty. Pan Denbigh zawdzięczał po części swoją spokojność tym zabobonom, gdyż ta strona jego posiadłości słynąca w porze jesiennej wybornemi drogami a w zimowej doskonałą ślizgawką, i zawsze ponętna niebezpieczeństwem połamania nóg, byłaby zapewne częściej zwiedzana przez wiejską młodzież niż by sobie tego życzyli mieszkańcy folwarku opactwa.

Pan Denbigh wchodząc do swego domu, przyjętym został przez porządnie ubraną kobietę, lat podeszłych, ze świecą w ręku. Była to poczciwa wieśniaczka z Kowshiru, niegdyś mamka pana Denbigha, którą po śmierci swego stryja sprowadził, aby mu prowadziła gospodarstwo, podczas gdy mąż jej spełniał obowiązki ogrodnika, grooma i lokaja.

— Cóż to, Isott, jeszcześ tutaj? rzekł pan Denbigh. Powiedziałem ci podobno abyś nigdy na mnie nie czekała.

— Właśnie miałam odchodzić, proszę pana, mój stary już od dwóch godzin spać poszedł.

— Czy tak? radzę ci więc jak najprędzej iść za jego przykładem.

Stara kobieta spojrzała uważnie w twarz swego pana, a spotkawszy jego wzrok rozśmiała się z rubaszną dobrodusznością.

— Nie mamże się niczego dowiedzieć, proszę pana? rzekła filuternie, ludzie już gadają...

— Tym razem ludzie się nie mylą, odpowiedział wesoło pan Denbigh. Żenię się, moja poczciwa Isott.

Przebiegły uśmiech starej kobiety przybrał jeszcze bardziej znaczący wyraz i rzekła nieśmiało:

— Od pół roku o tem wiedziałam.

— Dziś dopiero stanowczo się ułożyliśmy, odparł z żywością pan Denbigh. O cóż ci jeszcze chodzi? dodał widząc, że Isott stoi na miejscu skręcając róg swego fartucha.

— Przyjdzie mi się pewno wynosić, rzekła wzdychając.

— Nie, bynajmniej, moja stara. Pani Clavering życzy sobie zatrzymać cię. Ale kiedyindziej o tem pomówimy. Teraz idź, a ja drzwi za tobą zamknę.

Stara sługa zawahała się jeszcze, mając widocznie ochotę na dłuższą gawędkę, ale wiedziała że pan miewa swoje widzimisię, i nic już nie rzekłszy usłuchała jego rozkazu.

Pan Denbigh stanął w otwartych drzwiach, i skierował blask świecy na błotnistą ciemną uliczkę, którą Isott przejść musiała do domku położonego naprzeciwko, który wraz ze swym mężem zajmowała. Dopiero gdy umilkło klapanie jej pantofli, zamknął drzwi, i wziąwszy świecę, poszedł do większego z dwóch tylnych pokoi. Tu, obejrzał się uważnie dokoła. Sprzęty były ciężkie i niezgrabne, obicia i kobierce zużyte i pokryte jednostajną czarną barwą starości, ale okna wychodziły na ogród, a kominek był z czarnego rzeźbionego dębu, wszystko zważywszy, można było coś zrobić z tego pokoju. Pan Denbing rozglądał się po nim z uczuciem gorączkowej szczęśliwości. Ileż to już razy, od dawnego zbyt dawnego czasu, układał sobie jakby go trzeba urządzić aby był godnym Elsie! Widzieć ją tutaj, było marzeniem jego życia, dla tej niepewnej nadziei żył, oszczędzał, i odmawiał sobie wszystkiego, każdy grosz który mógł odłożyć przeznaczał na ozdobienie kaplicy, zanim jeszcze wiedział czy bóstwo będzie chciało przyjąć jego hołdy.

Nie często się zdarza aby podobne bałwochwalstwo opanowało serce człowieka. Rzadziej jeszcze do szczęścia go ono prowadzi!

ROZDZIAŁ II.

„Jest przerażająca stronica w księdze ludzkich przeznaczeń. Tytuł jej: spełnione życzenia."
Pani de Bonneval.

Czas szybko upływał, i niebawem nadeszła wigilija dnia przeznaczonego na ślub Filipa i Elsie. Wesele miało być ciche, każdy bowiem czuł, że wszelkie uroczystości byłyby niestosowne w obecnych okolicznościach. Sama pani Clavering, chociaż wdzięczna i zadowolona, byłaby się cofnęła ze zgrozą przed jakąkolwiek weselną zabawą.

Kilka tygodni które upłynęły od zaręczyn do dnia ślubu, użyte zostały przez Filipa Denbigha na przygotowanie domu na przyjęcie młodej pani. Teraz wszystko już było gotowe, dom odświeżony, dwie służące przyjęte do pomocy starej Isott, układ zrobiony z panem Scottem, lekarzem z Slowcombe, który miał

przez tydzień zastępować pana Denbigha — tak czynny człowiek nie mógł bowiem dłuższego czasu przeznaczyć na poślubną wycieczkę. Może to było szczęściem dla niego, że te wszystkie sprawy zajmowały mu cały czas od późnego zimowego świtu do wczesnego zmierzchu, i nie dawały mu wolnej chwili do myślenia, gdyż przez te ostatnie dni swego kawalerskiego życia dręczony był ciągle uczuciem które opisywał Elsie: niedorzeczną obawą i wątpliwością czy dożyje upragnionej chwili, która tak bliską się już zdawała.

Powiedział był Elsie, że liczne zajęcia nie dozwolą mu odwiedzić jej tego dnia, ale powracając do domu późnym wieczorem od chorego, i spostrzegłszy światło w jej saloniku, nie mógł się oprzeć chęci życzenia jej dobrej nocy, ile że dręczyła go zazdrosna obawa czy w ten ostatni wieczór jej wdowieństwa, dawna miłość i jej wspomnienia nie zakłócą spokoju Elsie. Skoro tylko wpuściła go służąca, wyminął ją szybko i sam otworzył drzwi saloniku. Pani Clavering siedziała na swem zwykłem miejscu przy dogorywającem ogniu, ale była pochylona naprzód, twarz miała ukrytą w dłoniach i widocznie płakała. Ścięło się lodem serce Filipa na ten widok, i zbladł jak chusta; chciał już odejść nie zdradziwszy wcale swej obecności, gdy w tem Elsie podniosła głowę, spostrzegła go i z lekkim okrzykiem ulgi pobiegła ku niemu przez pokój, a gdy ją objął w swe ramiona, przytuliła się do niego jak wylęknione dziecię znajdujące swego opiekuna.

— O jakżem ci wdzięczna żeś przyszedł! wyszeptała, na nowo zalewając się łzami.

— A ja zaczynam myśleć, że byłbym lepiej zrobił nie przychodząc wcale, rzekł oschle, bo zazdrość sercem jego miotała.

— Dla czego?

Czysty, jasny wzrok Elsie spotkał się na chwilę z jego spojrzeniem, potem podniosła lewą rękę i wskazała czwarty palec zaczerwieniony i nabrzękły w około ślubnej obrączki.

— Oto cała rzecz, wyszeptała. Prosiłeś mię Filipie abym ją zdjęła przed jutrem i chciałam to uczynić. Ale patrz, mój palec nagle nabrzmiał w około obrączki i żadnym sposobem poruszyć jej nie mogę. Czuję że dziecinną jestem, Filipie, ale nie mogłam wstrzymać się od płaczu. Nie jestże to złą wróżbą?

— Nic łatwiejszego jak położyć koniec tej wróżbie, rzekł pan Denbigh, dobywając z kieszeni pudełeczko z chirurgicznemi instrumentami. W jednej chwili uwolnię cię od tych kajdan.

Lecz Elsie cofnęła rękę.

— Nie, drogi Filipie, rzekła błagalnie, zostaw mi ją do jutra, proszę cię o to. Jeżeli nie da się zdjąć z łatwością przed pójściem do kościoła, wtedy rozpiłujesz mi ją, ale nie mogę się wyrzec przeszłości dopóki nie rozpocznę nowego życia.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Filip z pewną gwałtownością ujął obie jej ręce, i pochyliwszy się ku niej, badawczo w twarz jej spoglądał. Zarumieniła się pod tem spojrzeniem, chociaż wzrok jej podniósł się czysty i niezmieszany.

— Elsie, rzekł nakoniec Filip zmienionym głosem, jeżeli twoje serce poszło do grobu z tamtym człowiekiem, powiedz mi to lepiej zawczasu. Nie dopuść abym ci wszystko oddał, nic w zamian nie otrzymując.

— O! czyliż sobie wyobraziłeś, że ja żałuję mego postanowienia? zawołała Elsie. A cichszym głosem i jakby sama zatrwożona własnemi słowy, dodała: Możeszże tak sądzić Filipie? Nie pojmujesz więc tego, że ja raczej jestem zmartwiona, i sama na siebie gniewna, że nie czuję tak jakbym czuć powinna? Tak jest, miałeś słuszność Filipie, tamto było dziecinną miłością, to co teraz czuję jest dopiero prawdziwą miłością kobiety, a to zdarzenie z obrączką zdaje się jakby wyrzutem za moję niestałość.

— Czynisz mnie szczęśliwszym niż to wyrazić mogę, była jedyna odpowiedź uspokojonego kochanka.

— I ufam — spodziewam się, że moje uczucia nie krzywdzą *jego* pamięci, szepnęła jeszcze młoda kobieta. Kochałam go: ty wiesz o tem. Lecz, o! nie tak jak kocham ciebie, Filipie!

I spojrzała na niego wzrokiem tak pełnym ufności i serdecznego przywiązania, że obawy i wątpliwości jego rozwiały się pod wpływem tego czarodziejskiego spojrzenia, i to burzliwe, namiętne serce ukoiło się raz jeszcze.

Elsie Clavering prawdę mówiła. Pierwszy jej mąż i kochanek, wesoły, lekkomyślny, o nic niedbający marynarz, zbyt podobne do jej własnego miał usposobienie, żeby mógł wzbudzić w niej ten szacunek połączony z przywiązaniem, jakiem ją natchnął Filip Denbigh. Krótkie chwile pierwszego jej związku upłynęły powierzchownie tylko zajmując jej serce, podczas gdy głąb jego pozostał nietkniętym.

— Ona jest szczęśliwą, jest prawdziwie szczęśliwą teraz! mówił sam do siebie Filip powracając do domu wśród ciemności mglistej styczniowej nocy. Będzie tysiąc razy szczęśliwszą niżby nią być mogła z tamtym biedakiem. Los obszedł się łaskawie z nami obojgiem. Onaby napróżno skarby swego niezrównanego serca i umysłu rozlewała na tego półgłówka Claveringa, który się po marynarsku zapalił do jej ślicznej twarzyczki, ale który pokochałby pierwszą lepszą dziewczynę tak samo jak moję najdroższą, jedyną w świecie dla mnie kobietę! Pozyskałem ją nakoniec — nakoniec po tylu latach! Aby tę noc tylko przeżyć, a jutro — jutro!

Wczesna godzina naznaczoną była na ślub, żeby uniknąć tłumu, o samej dziewiątej pani Carter, jedyna prawie obca zaproszona osoba, przybyła do kościoła i zajęła miejsce w swojej ławce. Poranek był zimny i ponury, a ostry wiatr zapowiadał śnieżną zamieć. Żona wikarego drżała otulona szalami, i płakała po cichu, bo miała przekonanie, że odwieczny porządek rzeczy, a nadewszystko niewieścia godność obrażona była celem dla którego tu przybyła; i że Elsie Clavering podług wszelkich prawideł kobiecej przyzwoitości, powinna była raczej umierać z tęsknoty.

— O! gdyby John umarł, czyż ja bym go kiedykolwiek zapomniała? myślała sobie serdeczna kobiecina. Właśnie zajęta była bolesnemi rojeniami o własnej rozpaczy po przypuszczalnej śmierci Johna, gdy ruch w przedsionku zwrócił jej uwagę, podniosła oczy i ujrzała pana młodego. Ale jakże wyglądał ten pan młody! Filip Denbigh zwykle miał cerę bladą; ale marmurowa, trupia twarz wchodzącego mężczyzny tak niepodobną była do wczorajszego Denbigha, jak niepodobnem jest zesztywniałe ciało do żyjącej istoty. Pani Caster uczuła się rzeczywiście przerażoną.

— Miłosierny Boże! ten człowiek chyba zwaryjował! pomyślała w pierwszej chwili. Zaraz atoli sama się ze swoich obaw uśmiechnęła, zobaczywszy że obejście doktora było zupełnie stosowne i przyzwoite. Stara przecież Isott, stojąca blisko swego pana w jasnej merynosowej sukni i białych wstążkach u czepka, nie spuszczała z niego oczu. I spostrzegła to co uszło uwagi pani Carter — że kiedy probował obracać kartki w książce od nabożeństwa, ręka mu tak drżała iż musiał książkę zamknąć, że przez cały czas póki stał czekając na swą oblubienicę, nie przestał gryść dolnej wargi. Wszelako był gotów zająć swoje miejsce przed ołtarzem skoro Elsie weszła, wsparta na ramieniu zacnego starego gentlemana z sąsiedztwa, który przyjął w tej okoliczności rolę ojca młodej oblubienicy. Ślubny jej strój odznaczał się skromnością i przyzwoitością: miała suknię z materyi srebrno-popielatej, spadająca w sutych fałdach z pod białej beduiny, kilka zielonych pomarańczowych liści przy malutkim białym kapelusiku odejmowały tej toalecie pozór pół żałoby. Elsie nie mogła wybrać stroju lepiej przypadającego do jej delikatnej młodzieńczej piękności.

— Ona się przelęknie jak na twarz jego spojrzy, pomyślała pani Carter. I przypomniała sobie zdanie przed laty wyczytane: „Gdyż choćbyś najwyżej nosił czoło, równie ci blisko do trumny jak do ślubnego kobierca.“

Elsie nic jednakże nie widziała, przez cały czas trwania obrządku ani razu nie podniosła oczu. Raz tylko zadrżała, gdy Filip uchwycił jej rękę dłonią jak ogień gorącą, i z szczególną siłą ścisnął jej drobne paluszki. I powtórnie zadrżała gdy przejmujący głos wikarego wymówił uroczyste wyrazy: „Co Bóg złączył człowiek niechaj nie rozłącza.“ Bo wtedy rozpalona dłoń trzymająca jej rękę nagle stała się zimną jak lód.

Skończyło się. Pozostawało już tylko panu Denbighowi wziąść żonę pod rękę, i poprowadzić ją przez krótką ścieżkę do probostwa, aby zamieniła swój lekki ślubny strój na cieplejsze podróżne ubranie.

Nadmorska miejscowość do której się udawali tylko o dziesięć mil angielskich była oddalona, i pocztowy powozik stał już zaprzężony przed domem, kiedy wychodzili z kościoła; pani Denbigh zatem nie dziwiła się temu, że małżonek wprowadził ją szybko z pośród tłumu winszującego jej u drzwi kościoła, tłumacząc się niewyraźnie potrzebą pośpiechu, aby ich nie zaskoczyła śnieżna zamieć, która coraz widoczniej groziła.

Gdy pani Denbigh zeszła na dół przebrawszy się na prędce, zastała swego męża stojącego przy kominku z twarzą ukrytą w złożonych i opartych na kominku rękach. Postawa

jego tak wyraźnie tchnęła cierpieniem fizycznem lub moralnem, że Elsie pospieszyła ku niemu zapytując go z troskliwością czy nie jest chory.

— Chory? Nie, bynajmniej, odpowiedział, ale z tak zmienioną twarzą, że młoda kobieta zawołała przerażona:

— Ty cierpisz Filipie, ja to widzę. Co ci jest.

— Byłem w obłokach, lub w płomieniach, odrzekł śmiejąc się. Czyś już gotowa Elsie?

— Natychmiast, ale patrz Filipie, chciałam ci pokazać mój palec. Widzisz że już tylko twój pierścionek jest na nim. Wczoraj wieczór tamten nie dał się ani poruszyć, a dziś rano zsunął się sam. Nie jestże to dziwnem?

Pan Denbigh nic nie odpowiedział, nie zdawał się nawet słyszeć co mówiła, tak był zajęty otulaniem jej w ciepłe okrycia i odprowadzeniem jej do powozu.

Gdy konie ruszyły, unosząc nowo zaślubioną parę, pan młody cofnął się w głąb powozu i zachował zupełne milczenie przez cały czas jak przejeżdżali główną ulicą pełną ciekawych. Małżonka jego miarkowała po niecierpliwych poruszeniach nogi jego, że coś mu przykrość sprawiało, i pomyślała, że go zapewne przez wzgląd na nią gniewało to zgromadzenie ludzi, którzy swoje współczucie okazywali po swojemu, wytrzeszczając ciekawe oczy.

— Mnie to nic nie przeszkadza, Filipie, rzekła zwracając się ku niemu. Powtórnie widok jego twarzy przeraził ją.

Po chwili, gdy zostawili wioskę za sobą i wyjechali na spokojny gościniec, objął ją w swe ramiona i uścisnął namiętnie mówiąc:

— Nakoniec tyś moja! Żadna w świecie potęga rozłączyć nas już nie zdoła, moja Elsie jedyna!

— Nie przypuszczałam nigdy—mówiła pani Caster do swego męża—gawędząc z nim wieczorem o ślubie odbytym rano! żeby pan Denbigh mógł być tak nerwowym i dziwacznym. Zawsze był dla mnie niemiłym, ale nigdy mi się nie wydał tak nieznośnym jak dziś rano kiedy uprowadził biedną Elsie nie pozwoliwszy jej nawet podziękować nam wszystkim którzyśmy jej szczęścia życzyli, przy czem spoglądał na obecnych jakby im chciał zabronić patrzeć na nią. Co za brak wychowania! I czy kto widział kiedykolwiek taki wyraz twarzy? Doprawdy tak podobniejszy był do winowajcy na śmierć idącego, niż do szczęśliwego oblubieńca.

— W takich razach człowiek zwykle bywa nie swój—odrzekł spokojnie wikary!

Śnieg coraz gęściejszy padał przez całą noc. Gdy pani Denbigh nazajutrz rano podniosła storę i wyjrzała oknem, zobaczyła świat tak biały jak jej ślubna zasłona.

Taki stan powietrza trwał przez cały tydzień i zmarznięty śnieg grubo okrywał ziemię, gdy pan Denbigh przywiózł do domu swą młodą małżonkę. Ciemno było zupełnie, od ziemi tylko odbijało zimne światło gdy powóz nowożeńców zawrócił w wązką uliczkę prowadzącą do folwarku Opactwa. Gdy stanęli przed bramą, ukazała się w otwartych podwojach stara Isott ze świecą w ręku i z twarzą rozpromienioną. Mały przedpokoik wesoły miał pozór, ale to było niczem w porównaniu z salonikiem, przez którego otwarte drzwi widać było ogień płonący na kominku i świece w srebrnych lichtarzach. Białe obicia na ścianach, miękkie kobierce na podłodze, modne nizkie kanapki i zgrabne stoliczki, oraz mnóstwo eleganckich drobnostek, czyniło ten salonik zupełnie odmiennym od zwykłej „bawialni“ żony wiejskiego lekarza. Elsie Denbigh zaledwie miała czas wydać okrzyk przyjemnego zdziwienia, gdyż mąż jej zajęty był jedynie zabezpieczeniem jej od zimna, i dopiero kiedy ją posadził przed kominkiem i uwolnił z licznych okryć, mogła się swobodnie rozpatrzeć po pokoju i nacieszyć jego weselszą powierzchownością.

— Jakże tu ślicznie! — zawołała obejrzawszy nakoniec każdy szczegół wykwintnego i doborowego urządzenia — i wszystkie moje własne graciki, umieszczone tak jak gdyby zawsze tu było ich miejsce! Jestżeś ty czarodziejem, Filipie? Ach, teraz pojmuje jakie miałeś interesa, dla których mnie przez cały dzień samą zostawiłeś! Jakże to wszystko śliczne!

— Czy ci się rzeczywiście podoba, ukochana moja Elsie? Czy pewną jesteś tego?

— Czy mi się podoba? Jakżeby mogło być inaczej? A co za stos książek!

Przyklękła aby się przypatrzeć półkom z książkami, które zajmowały wklęsły kąt za kominkiem. Będziesz mi czytywał, nieprawdaż Filipie, i nauczysz mię kochać te wszystkie książki które ci są tak drogie? Ach! i taki pyszny fortepijan!

— Zawsze o tem marzyłem żeby ci go ofiarować, Elsie! usiądź i zaśpiewaj mi jedną z twych piosnek—one warte więcej od wszystkich książek jakie kiedykolwiek napisano.

Elsie usłuchała, i przez całą godzinę śpiewała mężowi jedną piosnkę za drugą, a on wsłuchiwał się z rozkoszą w ten słodki głos który mu się zawsze wydawał najwyborniejszą melodyją. Następnie Isott wezwała ich na wieczerzę, i sama im usługiwała.

— Okna tego pokoju wychodzą na ogród nieprawdaż?—rzekła pani Denbigh, gdy powrócili do saloniku po wieczerzy. Ileż to już lat upłynęło odkąd tu byłam!

Podniosła storę i wyjrzała oknem.

— Jak dziko i posępnie wydaje się teraz ogród!—rzekła do swego męża, który pozostał zdala od okna; wszystkie krzewy wznoszą się jak upiory białemi płachtami odziane. A to musi być *Staw księdza Opata*—tam pod tem drzewem? Dziwna się stąd wydaje ta czarna otchłań.

Spuściła storę narzekając na zimno, drżąca powróciła do męża.

— Przeziębiłaś się droga Elsie, rzekł troskliwie. Czy słaba jesteś?

— O nie! chwilowo mię tylko dreszcz przeniknął. Isott powiedziałaby że ktoś przeszedł przez mój grób.

— Usiądź kochanko,—rzekł pan Denbigh przysuwając jej krzesło do ognia, poczem dodał z doktorską pewnością:—nie trzeba nigdy lekceważyć dreszczy. Czy ci teraz cieplej? Czy pewną tego jesteś? Podaj mi jeszcze rękę.

— Już teraz zupełnie dobrze się czuję. Może to stary duch czarnego stawu miał mi się ukazać, jak sądzisz, Filipie? Dobrze że się namyślił i dał temu pokój. Żart na stronę, nie umiem ci wypowiedzieć jak dziwnego uczucia przez chwilę doznałam—i to nagle—gdym spojrzała na ten posępny widok.

— Bo też to smutne miejsce,—rzekł ogrzewając ciągle jej ręce. Lada dzień opuścimy go na zawsze... Przecie że mi się udało nakoniec rozgrzać te paluszki.

Chcąc zagłuszyć jakieś niewyraźne uczucie niepokoju którego się pozbyć nie mogła. Elsie zwróciła się do stołu na którym ułożone były niektóre jej podarunki ślubne i inne drobnostki, i wzięła w rękę koszyczek staroświeckiej filigranowej roboty, w którym mnóstwo świstków papieru białego, różowego, niebieskiego i żółtego, ustawione były jak żołnierze w szyku bojowym.

— Zabawny pomysł starej miss Damcan, rzekła z uśmiechem. Czy widziałeś jaki mi podarunek ofiarowała, Filipie? wybór zdań Szekspira. Mamże ciągnąć i badać przyszłość? Wprawdzie trochę już na to za późno.

I śmiejąc się wyciągnęła świstek różowego papieru, ale rzuciwszy nań okiem lekko pobladła i podając go mężowi rzekła:—Nie spodziewałam się żeby mogli wybrać coś tak okropnego.

Był to wyjątek z Ryszarda III.

„Nie zbliżaj się do niego—stroń zdala od niego
Grzech, śmierć i piekło swem piętnem go naznaczyły,
I wszyscy słudzy szatana czekają na niego.“

— Podrzej to, rzekł sucho Filip Denbigh.

— Kiedy są ułożone w porządku ubytek jednego zepsuje cały szyk.

— To będzie zepsuty. Podrzej zaraz ten papier.

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Ostatnie akordy, zbiór poezyj Antoniego Kolankowskiego. Suwałki 1875 r. Skład główny w księgarni Czarnowskiego i S-ki. str. 255 in 8-o. cena rs. 1.

Mamy tu małą wiązankę oryginalnych i tłomaczonych płodów muzy jednego z poetów starszego pokolenia. Pana Kolankowskiego zaliczyć można do szkoły, która wytworzył Syrokomla. W gawędach i przysłowiach rymowanych żywo acz kolwiek w bladem odbiciu, przypomina nam autor ów serdeczny, swojski duch śpiewaka „ojczystej dąbrowy.“

Treść utworów p. K. jest po większej części ubogą, niekiedy zbyt błahą nawet, lecz forma i barwa poetyczna wynagradza w znacznej części ubóstwo treści. Wszystko, co poeta odgrzebuje ze wspomnień przeszłości, w poetycznym przedstawia się blasku i serdecznym przemawia tonem. Ale p. K. nie rozumie rzeczywistości, nie rozumie pragnień życia. Spogląda niekiedy okiem zwątpienia na świat, gdzie „wśród głogów i cierni to życie nam płynie“ i pyta się, „gdzież stopy skrwawione zatrzymać na drodze?... „Gdzież przystań bezpieczna tułacza — człowieka.“ I oto wskazuje

przystań „Gelgoty.“ Gdzież tu ożywcze źródło życia?... Sam poeta nie rozumie go wcale. Wreszcie, jako chryzmat na tę smutną drogę daje napomnienie: „O nie trać z przed oczu światełka nadziei!“ Wcale nie głęboka poezyja życia!...

P. K. jest miłym gawędziarzem, lecz dopóty tylko, dopóki obraca się w właściwym sobie kole wspomnień i obrazków, dopóki nie wypowiada swych poglądów na życie.

Lecz i w swych gawędach, gdzie powinniśmy mieć poetyczne obrazy dawnego życia, nie umie poeta podchwytywać prawdziwie wybitnych sytuacyj, a kreśli tylko lekkie i niezbyt charakterystyczne pod względem treści obrazy. Nie widzimy tu owych pięknych postaci, skreślonych serdecznym piórem Syrokomli. Duch staro-szlachetczyzny uwydatnia się głównie w tonie i w kilku dorywczych rysach. Gdzieniegdzie (szczególniej w wierszu „Pożegnanie“) żywo przypomniał nam autor ów jowijalny a serdeczny ton, którym tak słodko przemawiał do serc naszych Syrokomla. Z wielką też prawdą i artyzmem skreślona jest gawęda p. t. „Babunia.“

W ogóle treść utworów p. K. jest zbyt ulotna, a rysy życia zbyt powierzchowne. Bierze np. poeta za temat „Zaścianek,“ i zamiast charakterystycznego a pełnego poezyi obrazku, kreśli tylko kilka szczegółów zewnętrznego opisu.

W poezyjach p. K. widzimy ciche, serdeczne, ale zbyt słabe i rozsentymentalizowane uczucie i niezbyt bujną fantazyję; widzimy przytem brak jasnego na świat poglądu i silnego poruszenia prawdziwie doniosłych i poetycznych stron życia. W jednym tylko wierszyku p. t. „Nędza“ myśl poety odkrywa dramatyczny prawdziwie obraz życia, aczkolwiek kreśli go w sposób zbyt oklepany.

P. K. spogląda na obecną rzeczywistość okiem cichego, spokojnego zniechęcenia, bez owej palącej goryczy i dumnej pogardy, którą tak miotają niektórzy z bajronicznych wieszczów. Śmiemy nawet sądzić, że owa nuta zniechęcenia i lekkiego pesymizmu jest tylko pewną przestarzałą manijerą poetyczną, a nie wynikiem głębokiego przekonania.

Prócz wskazanych wyżej cech, widzimy jeszcze w utworach p. K. pewną efemeryczność obok zbyt miękkiego i sentymentalnego erotyzmu.

Streszczając wszystko, cośmy powiedzieli o oryginalnych płodach p. Kolankowskiego, widzimy w nich wiele skromnych barw poetycznych przy braku prawdziwie potężnego natchnienia, orlego polotu myśli i podniosłego na świat poglądu. Wielce cennymich przymiotem jest wiersz bardzo harmonijny i potoczysty, język jędrny i gdzieniegdzie dosyć poetyczny.

Większą część zbiorku zawiera kilka obszernych przekładów, po większej części niewłaściwie wybranych i licho uskutecznionych. Poeta nie dobrał płodów, odpowiednich do właściwego sobie nastroju i formy poetycznej, z tej też przyczyny Lermontowa szczególniej w zbyt bladej widzimy tu reprodukcyi.

A. Pilecki.

MEDYCYNA DOMOWA.

MIGRENA I JEJ LECZENIE.

(Wyciąg z dziennika „**La Science pour tous**“).

Mało mamy chorób tak częstych, tak widocznie nie niebezpiecznych ale i tak męczących jak migrena; ona rujnuje najzdrowszą naturę, czyni chorego niezdolnym do żadnej roboty, do żadnego zajęcia, a gdy przechodzi do peryjodycznego stanu, co bardzo często się zdarza, to istnienie chorego staje się rzeczywiście godnem politowania. Cierpienia tak wielkie iż trzeba ich doświadczyć aby mieć o nich pojęcie; zdaje się że głowa chce pęknąć, całe ciało wstrząśnięte, i często bywają womity powiększające jeszcze cierpienia.

Jeśli nie zupełnie jesteśmy pewni pochodzenia migreny to przynajmniej wiemy rodzaj tej choroby. Wszyscy a przynajmniej prawie wszyscy autorowie zgadzają się na to, że migrena jest prawdziwą newralgiją porażającą nerwy głowy.

Jeżeli zadowolnilibyśmy się tylko oznaczeniem migreny, to nie bardzoby pocieszyło nieszczęśliwych pacyjentów dręczonych tą chorobą i to nie jest celem niniejszego artykułu. Na szczęście możemy ofiarować im coś lepszego, kuracyją która najczęściej usuwa migrenę w przeciągu kilku minut, dowodząc przy tem że choroba ta jest prawdziwą newralgiją.

Nie wyliczemy mnóstwa środków używanych przeciwko migrenie, które nie mając racyi bytu, prędko poszły w zapomnienie. Leczenie tej choroby nie było należycie wyszukane i racyjonalnie obmyślane. Przyjąwszy w zasadzie, że migrena jest rzeczywistą newralgiją, należało sprawdzić czy najrzeczywistsze z wiadomych środków przeciw newralgii będą zbawczemi przeciw migrenie; sprawdziliśmy te środki i próba nam się udała. Wiedząc z praktyki, że terpentyna we wszystkich preparatach jest doskonałym środkiem przeciw newralgii, gdziekolwiek by się okazała, zastosowaliśmy kuracyję za pomocą terpentyny. Prawda, przyznać musimy że nie wszystkie wypadki kuracyi wypadły pomyślnie (które lekarstwo skutkuje zawsze pomyślnie?) jednakże szczęśliwe rezultaty wypadły nadspodziewanie. Najprzód powiemy że terpentyna, nie może być używaną w rodzaju tinktury i syropu w skutek nieznośnego smaku, dawaliśmy ją w rodzaju pereł *(perles)*. Maleńkie okrągłe perły, galaretowe kapsule, wielkości pigułki, zawierające pod cienką, przezroczystą powłoką, cztery do pięciu kropel, essencyi każda, wynalazku Dr. K l e r t a n a. Można powiedzieć, że one przynoszą rzeczywistą usługę chorym, dając im możność bez trudności połykać tak nieznośne lekarstwo.

Z samego początku migreny, należy zażyć dwie lub trzy kapsulki essencyi Dr. K l e r t a n a, połykając je prędko jak pigułki, w łyżce wody. Najczęściej migrena znika w przeciągu 20—30 minut. Powtarzamy, że środek ten nie jest nieomylnym, ale na dziesięć wypadków udaje się 7—8 razy. To jest wystarczającem aby go proponować i radzić sprobować tym, którzy podlegają tej męczącej chorobie.

Nie chcemy twierdzić iż zrobiliśmy wynalazek, ale ograniczamy się przekonaniem, że wpadliśmy na szczęśliwą myśl mogącą przynieść użytek wielu osobom cierpiącym.

Doktor Wallon.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 (29) Сентября 1875 г. - W drukarni E. Skiwskiego,— Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.